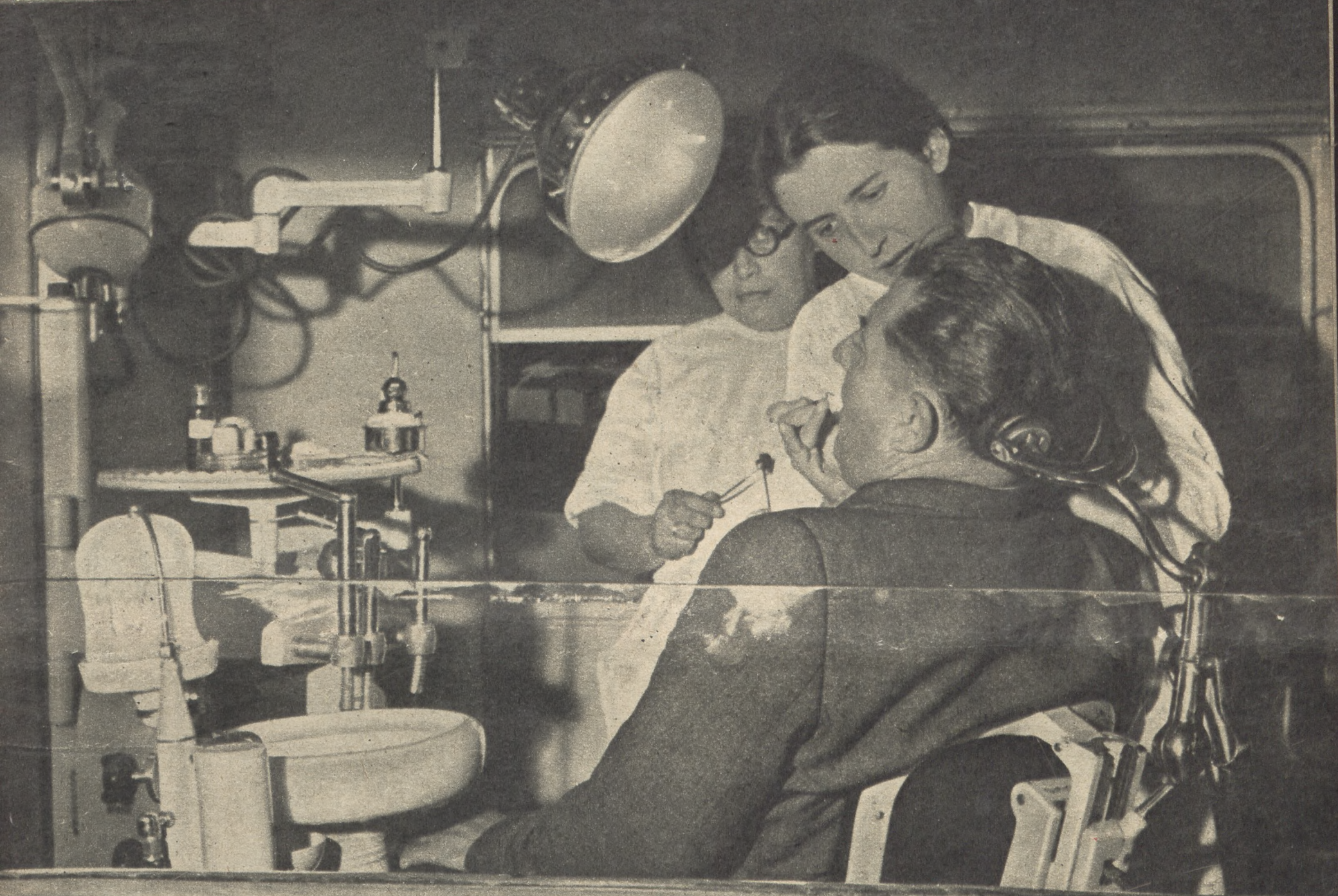


Biuro Głównie
Warszawa



PONAD 1000

nowych gabinetów stomatologicznych uruchomiono w r. 1953 przy większych zakładach przemysłowych, w wiejskich ośrodkach zdrowia, w okręgowych i rejonowych poradniach stomatologicznych. Oprócz tego 200 ruchomych ambulansów dentystycznych docierało do wielu najdalej nawet położonych gromad. W sumie placówki te wykonały ponad 17 milionów zabiegów lekarskich.

Fot. „Świat” — W. Sławny

RUCHOMY

SWIAT NASZA KRONIKA

Z NAJWYŻSZYM zainteresowaniem naród polski śledził przebieg konferencji berlińskiej. Naród polski rozumie dobrze, jak wiele zależy od całości kształtu układu stosunków międzynarodowych, a w szczególności jak wiele zależy od tego, jak będzie uregulowana kwestia niemiecka.

Zachodni obserwatorzy i komentatorzy, zachodnie agencje i zachodnia prasa, umieniają się czasem jeszcze zdobyć na jedno choć słowo prawdy, głoszą wiele podziwu dla dyplomaty, mistrza w sposób niezachwiany prowadził konferencję berlińską. My również podziwialiśmy Mołotowa. Podziwialiśmy jego mądrość i wytrwałość w walce o słuszną sprawę. Ale podziwiamy go nie tylko jako wielkiego dyplomata. Podziwiamy to, co mówił nie tylko dlatego, że to co mówił było przekonujące i mądre. Podziwiamy dlatego przede wszystkim, że słowa, których używał, były, jak się to u nas mówi, „wyjęte nam spod serca”.

Władysław Mołotow reprezentował rząd radziecki i państwo radzieckie. Ale w tym, co mówił, żyła wielka racja, będąca wyrazem dążeń i pragnień wielu więcej ludzi niż ma obywateli Kraj Rad. Słowa Mołotowa, choć mówił on o wielu sprawach trudnych i skomplikowanych, rozumiały miliony ludzi na całym świecie, zrozumiawszy się w swym głębokim przekonaniu: Związek Radziecki stanowi niezłomną redutę pokoju, Związek Radziecki najbardziej skutecznymi sposobami, przy pomocy najmądrzejszej polityki o ten pokój walczy, sprawa pokoju znajduje się w dobrych rękach.

Z polityką jak ze sztuką: dobra sztuka dobywa z człowieka najgłębsze jego własne uczucia, dobra polityka dobywa z nas najlepsze nasze myśli i uczucia. Siła tego, co mówił Mołotow, polegała na tym, iż jego sformułowania stanowiły sformułowania myśli i uczuć wielu narodów. Możemy z całą pewnością stwierdzić, iż w tym, co mówił Mołotow, były uczucia i myśli naszego narodu. Tak samo jak i wielu innych narodów świata.

CECHA charakterystyczną naszą epoki są wewnętrzne sprzeczności miotające obóz imperiaлизма, sprzeczności między polityką rządów imperialistycznych i dążeniami narodów, a wreszcie zgodność dążeń i pragnień narodów. Wśród tych sprzeczności i tej zgodności rozwija się historia naszych dni.

Przedstawiciel Związku Radzieckiego mówił o kilku podstawowych sprawach: o tym, że Chiny są jednym z największych mocarstw świata i że nie można mówić o najważniejszych sprawach bez Chin; o tym, że Europa składa się z trzydziestu dwóch krajów, a nie z sześciu, jak głoszą układy z Bonn i Paryża i że wobec tego bezpieczeństwo Europy wywodzić się może z gwarancji bezpieczeństwa całej Europy, a nie tylko jej zachodniego przyczółka mostowego; że zjednoczenie Niemiec dokonać się powinno i to w taki sposób, by naród niemiecki, a nie jego faszystowskie kaci i prześladowcy mogli decydować o jego losie; że do bezpieczeństwa prowadzi droga nie przez tworzenie wrogich sobie bloków państw i przez zbrojenia, ale przeciwnie,

poprzez zbiorowe bezpieczeństwo i przez rozbrojenie; że tak jak w sprawie Niemiec, tak i w sprawie Austrii Związek Radziecki pragnie uczynić wszystko, co trzeba i należy, by narody doczły do głosu i by narody te w żadnym wypadku nie stały się narzędziem nowej agresji w niczym rękę: ani własnych, ani amerykańskich podżegaczy.

Są to proste sprawy tego świata. Swoje cele rządy zachodnie pragną realizować przy pomocy maczenia jasności tych zagadnień, przy pomocy otaczania ich fałszywą mgłą frazesów. Wielką zdobyczą konferencji berlińskiej było wyjaśnienie sytuacji przez przedstawiciela Związku Radzieckiego. Przedstawiciel Związku Radzieckiego pokazał narodom całego naszego globu, do czego należy dążyć, o co wytrwale należy walczyć. Tak jest: walczyć. Byłoby bowiem naiwnością sądzić, że oto panowie Dulles, Eden i Bidault pod ogniem argumentacji Mołotowa zmieniają całkowicie politykę swoją i swoich rządów. Osiągnięcie wielkich celów wyznaczonych przez Mołotowa może się dokonać poprzez wielką walkę narodów, które w sposób zdecydowany i stanowczy wyrażają swoją niezłomną wolę pokoju, bezpieczeństwa, rozbrojenia, zjednoczenia Niemiec i zapewnienia pełnej suwerenności Austrii.

CZY dążenie do osiągnięcia tych celów jest nierealne?

Przeciwnie: jest jak najbardziej realne. Dowodów w tym zakresie dostarczyła nam właśnie konferencja berlińska, jej przebieg i jej zakończenie. Końcowy komunikat tej konferencji stanowi zapowiedź nowego spotkania przedstawicieli już pięciu wielkich mocarstw, czterech z berlińskiej konferencji i Chin Ludowych.

Dulles obrzucał obelgami nowe, ludowe Chiny i ich czołowych przywódców, ale rzeczywistość, wola rzeczywistości, wola narodów okazała się silniejsza od pana Dullesa. Przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, uznający za jedynego przedstawiciela Chin „króla Formozy” — Czang Kai-sze, zasiadł przy jednym stole z przedstawicielem rządu chińskiego, który nie cieszy się uznaniem pana Dullesa, ale za to cieszy się uznaniem, poparciem i miłością pół miliarda Chińczyków.

I oto okazuje się, że wola tych pięciu i pół milionów Chińczyków wraz z wolą innych ludzi Azji, narodów innych części świata była silniejsza od dążeń i od woli Dullesa i innych jego amerykańskich przyjaceli. Siła ministra Mołotowa polegała zaś na tym, że wysuwając projekt takiej konferencji wraz z Chinami wyrażał słuszną i wolę milionów ludzi.

Rozwój sytuacji w świecie przynosi nam ciągle nowe dowody, że wola narodów coraz więcej ma do decydowania, choć realizuje ona swoje dążenia w walce ciężkiej i trudnej, ale wróżącej zwycięstwa. O swoim czasie zbrojnego pokoju pisał kiedyś Wiktor Hugo, iż ludzi nękała „wielka bezsenność świata”. O naszym czasie, niosącym szczęśliwą przyszłość, o czasie walki, powiedzieć można, iż jego cechą musi być wielka czujność świata. Konferencja berlińska uczy nas wzmożenia tej czujności, stanowiącej gwarancję sukcesów.

JAN SZELĄG



Amerykańska agencja — „Paix et Liberte” rozkleiła w Paryżu nową serię plakatów propagujących „armię europejską”. Dzielnicowy komitet obroncy pokoju, w którym jest wielu

POWRÓT Z BERLINA JEST

Korespondencja własna „Świata” z Paryża



Nocą, kiedy afisze są już gotowe, cała grupa kieruje się do tablic z ogłoszeniami...

KONFERENCJA BERLIŃSKA zajmowała i zajmuje jeszcze pierwsze stronicę oficjalnej prasy i oficjalnej prasowej agencji AFP — propozycje ministra Mołotowa w sprawie pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego spotkały się we Francji z dużym zrozumieniem. Gwałtowne w tonie przemówienia Foster Dullesa wywołały natomiast wrażenie jak najgorsze. Niejeden dziennik niemiecki rozpoznał też amerykański manewr, polegający na wypychaniu naprzód Bidault i kreowaniu go na „wielkiego człowieka konferencji”. W dzienniku „Information” gaullistowski deputowany Philippe Barres zarzucał ministrowi Bidault, że nie bronił on w Berlinie interesów francuskich i że nie chciał zrezygnować z planu uzbrojenia niemieckich odwetowców. Artykuł nosił tytuł: „Powrót z Berlina będzie kłopotliwy”. „Politykę taką — pisał Barres o polityce Bidault — odrzuca znakomita większość Francuzów. Kiedy pan Georges Bidault powróci z Berlina, rychło przekonamy się, jakie jest prawdziwe stanowisko parlamentu i opinii publicznej”.

Opinia francuska stwierdzała bowiem i stwierdza coraz głośniejsze, że „armia europejska” sprzeczna jest z interesami Francji.

Oraz, że popierać tę armię w celu przypodobania się amerykańskiemu imperializmowi — znaczy to tyle samo, co uczynić przyszłość Francji przedmiotem handlu. Miliony ludzi manifestują więc codziennie nieprzejednaną wrogość dla wojennych układów z Bonn i Paryża, a wielka siła tego protestu wywiera coraz widoczniejszy nacisk na Zgromadzenie Narodowe i większość rządową. Zwłaszcza, że przebieg konferencji berlińskiej wskazał wyraźnie, gdzie jest obóz wolności i pokoju i gdzie znajdują się gniazda wojny i agresji.

Opinia społeczna skonstatowała również, że głos ministra Bidault w Berlinie nie był głosem Francji. Powszechnie stwierdza się w Paryżu dwa fakty:

1 że wszystkie konstruktywne propozycje wychodziły od ministra Mołotowa, podczas gdy ministrowie zachodni niczego nie proponowali i z reguły odpowiadali odmownie na przedkładane im wnioski.

2 że Bidault zachowywał się w Berlinie tak, jak gdyby układy z Bonn i Paryża zostały już ratyfikowane. Nie miał jednak prawa tak postępować, gdyż nie otrzymał na to manda-

PAMIĘTAMY O ZBRODNIACH HITLERYZMU

ARKADY FIEDLER

PATRZEC W PRZYSZŁOŚĆ Z OTUCHĄ

KOMU w pamięci okropności niedawnej wojny światowej wraz ze zgonem lat okupacyjnych, kto naukę wyciągnąć umie z tragicznych doświadczeń narodu koreańskiego, kto ma bliskich sercu ludzi, żonę, dzieci, przyjaciół, których mógłby utracić w nowej katastrofie wojennej, kto, słowem, jest normalnym, przeciętnym, uczciwym mieszkańcem Europy gdzie bądź w którymkolwiek kraju, we Francji, Danii czy Czechosłowacji — ten z największą uwagą śledzić musiał przebieg konferencji berlińskiej. Pomimo że mowa tam o sprawach globalnych i zasadniczych, w ostatecznym wyniku chodzi po prostu o to, czy ów mieszkaniec Europy będzie mógł w przyszłości pracować w spokoju, spożywać chleb i cieszyć się słońcem na niebie, czy też któregoś dnia „nowoczesna“ bomba zniszczy jego siedzibę i zabije jego bliskich.

My, Polacy, jesteśmy szczególnie za-

interesowani tym, ażeby konferencja wydała pomyślne owoce. Od tysiąca lat, od czasów magrafa Gerona, poprzez zakon krzyżacki, Fryderyków, Wilhelmów — do Hitlera, Polacy byli pod obuchem militarystyki niemieckiej.

To, że w ogóle doszło do zwołania konferencji berlińskiej ministrów spraw zagranicznych czterech państw, jest wielkim sukcesem pokojowej polityki Związku Radzieckiego i woli milionowych rzesz pragnących pokoju ludzi. Widocznie nacisk zdrowej opinii narodów zachodnich na ich rządy był tak wielki, że ostatecznie rządy musiały się zgodzić na odkrycie przed światem swych kart.

W tych obydwóch zagadnieniach od samego początku konferencji rzucały się w oczy dwa znamienne fakty: stawianie jasnych, uczciwych postulatów przez ministra Molotowa i słabe, wykrętne odgryzanie się jego zachodnich kontrahentów.

„Molotow góruje przebiegłością nad naszymi ministrami“ — wołają na alarm zachodnie dzienniki.

Minister Molotow rzeczywiście zdolnością przewyższa Dullesa, Edena i Bidaulta. ale

to nie przebiegłość i nie w tym istota rzeczy. Molotow daje tylko mocny wyraz temu, co od lat stanowi wytyczną polityki zagranicznej Związku Radzieckiego. Wytyczna ta jest właśnie jasna i uczciwa: w sprawie niemieckiej, uznając naród niemiecki za dostatecznie dojrzały, by mógł sam decydować o swych losach, pragnie jego zjednoczenia na demokratycznej i pokojowej zasadzie, w sprawie zaś ogólnoeuropejskiej pragnie utrwalenia pokoju na mocy układu wszystkich państw europejskich o bezpieczeństwie zbiorowym.

Ministrowie państw zachodnich chcą nadal uzbrajać neohitlerowców w zachodnich Niemczech, nie chcą zjednoczonych, demokratycznych Niemiec, nie chcą pokoju opartego na układzie ogólnoeuropejskim. Ale jednej rzeczy nie zdołają uczynić: nie zdołają zatrzeć ani osłabić głębokiego wrażenia, jakie projekt Molotowa musi wywrzeć na ludziach dobrej woli na całym świecie, a przede wszystkim w krajach zachodniej Europy. Projekt Molotowa nieodparcie przekonuje świat o mocnej, uczciwej woli Związku Radzieckiego i szeregom obrońców pokoju musi przysporzyć miliony nowych bojowników

PAMIĘTAMY O ZBRODNIACH HITLERYZMU

JERZY ZAGÓRSKI

CZEGO TRZEBA NIEMCOM?

WJEDNEJ epoce, w odstępnie niespełna roku, byłem świadkiem dwu scen, które bardzo dobrze obrazują skrajne możliwości tkwiące w duszy niemieckiej. Zdarzenia były konkretne, a sceneria dawała pełne prawo do uogólnienia, odkrycia zasady, jaką się kierowali Niemcy w jednym i drugim wypadku.

Scena pierwsza. Sierpień 1944 pod Warszawą, okolice objęte „pacyfikacją“ w czasie powstania. Zabezpieczenia sobie zaplecza w drodze wymordowania lub wywózki, przede wszystkim mężczyzn w pełni sił, dokonuje armia będąca od paru lat w odwrocie, cofająca się coraz pośpieszniej. W tych warunkach każdy zbyteczny ciężar czy drobny zdrajcę się być przeszkodą w swobodzie ruchów, każdy akt niesprawiedliwości (prócz prostego, zdecydowanego terroru) obniżaniem własnego bezpieczeństwa.

Przez całe nlebo ciągnie się olbrzymi pas dymu z pionącej Warszawy. Przed domem letników zatrzymuje się ciężarowe auto wojskowe po to tylko, by zabrać bawiącą się przed domem sześciolletnią dziewczynkę lalkę, a czterolletniemu chłopcu trzykołowy rower. Po co? Jak daleko zajada ze swym „lupem“? Za parę godzin znów wszystkie szosy znajdą się pod obstrzałem. W nocy zaś miasto, w którym mieszka rodzina rabusia, pokryje dywan bomb.

Dziewczynka, której zabrano lalkę, płacze. Czterolletni chłopiec spogląda na nią surowo, zwycięża w nim męstwo walczącego narodu, nie pozwala dziewczynce płakać. Ale będzie długo pamiętać grabież najulubieńszego przedmiotu.

Druga scena. Sierpień 1945, już po kapitulacji Niemiec. Prawo odrasta, ale linie komunikacyjne są jeszcze w proszku. Do Żelazowej Rudy w Czechach dociera pociąg, w Bawarii po drugiej stronie do granicznego miasteczka dociera autobus. Jest to ożywiony punkt graniczny. Tędy wracają do Czech, Polski i Związku Radzieckiego byli jeńcy z obozów i wywiezieni do pracy. Tamteży przechodzą Wiosną, Francuzi i Niemcy wracający do swych domów.

W zamęcie tego ruchu powojennego, gdy za paszport służyła najczęściej jakaś skromna przepustka, stwierdzająca autentyczność i przynależność państwową osoby, krążyły także jednostki, a nawet grupy ludzi zajmujących się przemytem i spekulacją. Prawo odrastało, ale było jeszcze chwiejne, niezdeterminowane, nie okrzepło, nie wykladowało się. Dobrze pamiętać, że w tym czasie rzecz znaleziona (szabery) z reguły była traktowana jako zesłana przez los, jako własność.

Nagle widzę, jak do grupy podejrzanie wyglądających osób, wyraźnie pizymytników, a więc w stosunku do których skrupuły prawne mogłyby być jeszcze dodatkowo mniejsze, podchodzi Niemiec i wręcza jednemu z nich znalezioną przez siebie walizkę. Przed dwoma tygodniami zauważył jak tamten, zupełnie mu obcy osobnik, zgubił walizkę wskazując do autobusu. Teraz po dwu tygodniach poznaje właściciela walizki z cennymi przedmiotami i wręcza mu nienaruszoną. Może to zdarzenie oderwane? Nie. To reguła postępowania obywatela niemieckiego na własnej ziemi, w czasie pokoju, gdy wracają stosunki normalne. W duszy Niemca szybciej odrastało prawo, niż w kimkolwiek.

Wytrącić raz na zawsze Niemcom broń z ręki, to znaczy w środku Europy utwierdzić pilastr ład. Podać im broń — to zmienił środek Europy w wulkan.

Żaden eks-hitlerowiec lub kandydat na pogrobowca hitleryzmu nie myśli długo grać roli wyłącznie knechta Amerykanów. Ze swej strony mocodawca amerykański nie myśli być opiekunem i tarczą dla swego niemieckiego klienta, lecz pragnie tylko, aby mu „najtańszy żołnierz“ wybierał kasztany z ognia. My nie chcemy uzbrojenia Niemiec, a chce-

my ich uwolnienia z okupacji, która na dłuższą metę nie jest zdrową wychowawczynią narodów. I podczas, gdy Amerykanie ociągając się ze zjednoczeniem Niemiec rozsuwają przed nimi mgliste perspektywy panowania (ściślej ekonomstwa) nad Europą aż po... wschodnie granice Węgier sprzed roku 814 (nim ci przybyli do Panonii...), my propnujemy Niemcom poparcie w jasnej, bliskiej i realnej sprawie zjednoczenia narodu w granicach od Nysy do Renu.

PAMIĘTAMY O ZBRODNIACH

WITOLD WIRPSZA

O „WOLNYCH WYBORACH I KONTROLI MIEDZYNARODOWEJ“

ROSNĄCE niebezpieczeństwo ze strony nowego i starego hitleryzmu, odżywiającego i rozwijającego się bujnie w Trizoni, jest czytelnikowi prasy polskiej dobrze znane. Czym jest hitleryzm — wiemy również dobrze. Tak dobrze, że przypominanie jego najistotniejszych cech — ludobójstwa — wydaje się czasami zbędne. Sądzę jednak, że warto obecnie przypomnieć, w jaki sposób, korzystając z formalnej „demokracji“, hitleryzm sięgał w przeszłość po władzę. Warto przypomnieć zwłaszcza wobec recepty wyborczej p. Edena.

Mając lat 15 — w roku 1934 — widziałem jak takie „wolne“ wybory wyglądają w praktyce, nie w samych Niemczech co prawda, lecz na dobrze już wtedy zhitleryzowanym terenie ówczesnego Wolnego Miasta Gdańska. W Rzeszy rządził już Hitler, w Gdańsku formalnie panowała jeszcze „demokracja“. Analogia z dniami dzisiejszym — a ściślej z propozycjami p. Edena, była jeszcze ta, że i w Gdańsku istniała „Międzynarodowa Kontrola“. W Wolnym Mieście rezydował Wysoki Komisarz Ligi Narodów, którego zadaniem była piecza nad statutem Wolnego Miasta, oraz Wysoki Komisarz rządu... Rzeczypospolitej Polskiej, który z kolei winien był dbać o interesy swego narodu.

Pamiętam obraz ulicy Gdańska owego czasu. Umundurowane i uzbrojone po zęby bandy hitlerowskie rozjeżdżały na samochodach ciężarowych we wszystkie strony, rozbijając wiele i zgromadzenia wyborcze stronnictw niefaszystowskich, od komunistów począwszy, a na katolickim Centrum skończywszy. Policja — także na samochodach i także uzbrojona — niby to pilnując porządku — dzielnie im w tym sekundowała. Im bliżej było terminu wyborów, tym częściej wybuchaly bójki, mnożyły się akty gwałtu i rozboju. Wolne Miasto żyło przez kilka tygodni pod terrorem brunatnego motłochu. Rezultat: W „wolnych“ wyborach zwyciężyli narodowi socjaliści, prezydentem Senatu został zbrodniarz wojenny i ludobójca Greiser. „Demokratyczny“ statut Wolnego Miasta zo-

stał wszakże nienaruszony! Więcej jeszcze: zażegnano czerwone niebezpieczeństwo. Międzynarodowa Kontrola spełniła swoje zadanie.

Cóż tu jeszcze dodawać. Mam wrażenie, że potrafiłbym szczegółowo opisać wygląd ulicy w Darmstadcie, Hamburgu lub Berlinie, gdyby rzeczywiście miało przyjść do wyborów w stylu p. Edena. Niewiele by się różnił od obrazków, jakie widziałem przed laty w Gdańsku. Wynik takich „wolnych“ wyborów jest przy wolności terroru również do przewidzenia.

Odżywające niebezpieczeństwo hitlerowskie w Niemczech zachodnich nierzadko uzmysławiają nam stare, dobrze znane nazwiska. Kesselring, Guderian — to przecież wykwalifikowani rozbójnicy.

Rozbójnicze imię Guderiana na przykład kojarzy się bezpośrednio z agresją hitlerowską na Polskę: oddziały pancerne pod jego dowództwem uderzyły na Pomorze we wrześniu 1939 roku. A teraz?

Teraz towarzyszą jego działalności serdeczne życzenia starych kompanów. Czasami wyrażają się w filiternej formie. Oto np. przed tygodniem radio Hamburg, nadając koncert życzeń, przesłało pani Elli Guderian serdeczne pozdrowienia wraz z drugą częścią Kwartetu Cesarskiego Józefa Haydna. Dowcip polega na tym, że druga część stanowiła wariację na temat melodii, do której dopisano później słowa „Deutschland, Deutschland über alles“. Były to bardzo serdeczne pozdrowienia... Sądzę, że p. Elli Guderian nie ośmieliła przekazać ich swojemu małżonkowi. Uśmiechnął się pewnie jowialnie: „W razie czego — pomyślał — powiem, że winien jest Józef Haydn...“

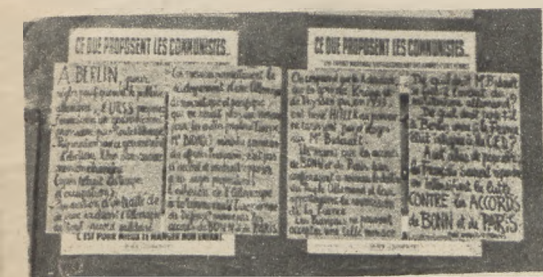
Otóż wydaje mi się, że propozycja p. Edena sprowadzają się w praktyce do bardzo podobnego koncertu życzeń. Jeśli chcemy zjednoczonych i pokojowych Niemiec, jeśli chcemy bezpieczeństwa naszej części świata — wiemy jedno: audycję należy przerwać i to póki czas.



artystów - malarzy, odpowiedział afizem „Przećho“ układom z Bonn i Paryża“.

KŁOPOTLIWY...

Napisał: FRANCIS CREMIEUX



„Na tablicy ogłoszeniowej „Paix et Liberté“ przeczytać można: „Jakim prawem p. Bidault występuje jako adwokat niemieckiego militarysty? ... Na to nadużyte władzy Francuzi odpowiadają wzmożeniem walki przeciwko układom z Bonn i Paryża ...“



„Na tej samej tablicy do walki przeciw „armii europejskiej“ wzywają także gaulliści...“

...A w Dzielnicy Łacińskiej, tuż obok Panteonu, studenci poradzili sobie w inny sposób. Dodają oni do amerykańskiego afisza cytaty z przemówienia baskiego odwołowca Blanka: „Kiedy będziemy mieli dosyć dywizji, porozmawiamy z Francuzami inaczej...“



Autorka książki „Dymy nad Birkenau“, przyłączając się do głosów społeczeństwa w sprawie remilitaryzacji Niemiec zachodnich i odradzającego się hitleryzmu, nadesłała do Redakcji opowiadanie, oparte na wspomnieniach z okresu jej pobytu w Norymberdze w czasie procesu przeciwko hitlerowskiemu zbrodniarzom wojennym.

DWA KROKI OD TRYBUNAŁU

MURY starej Norymbergi ciągną się na przestrzeni paru kilometrów. Powleka je zielonawy nałot, jakby mchy płaskie i aksamitne znalazły na nich siedlisko, nadając tej części miasta kolor grynszpanu. Idąc pod górę od strony budynku, gdzie obradował Międzynarodowy Trybunał Wojenny, wzdłuż obronnej fosy, wstępuje się w nastrój i atmosferę minionych wieków. Jakies echo pokutuje w zaułkach, zniecka rozbrzmiewa pełnym głosem pod sklepieniami baszt, przypominając, że wtedy przechodziło średniowiecze. Zwłaszcza wejście na dziedziniec zamkowy zachowało cechy starych sztychów; most zwodzony pnie się łukiem wysokim nad przepaścią fosy, prowadząc do kutej w żelazie bramy, zdobionej misterną kratą.

Przystaliśmy z redaktorem Szafranem pod murami zamku, gdzie musieli stawać przybysze, czekający na spuszczenie mostu. Ogarnęło nas zdumienie. Dekoracja teatralna stworzona dla Julii szekspirowskiej czy po prostu stara, urzekająca pięknem architektura? Zieleń na murach i zieleń w powietrzu. Jest przecież wiosna. Kwiecień tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Wszystko, co przewalało się po świecie, przestało na chwilę istnieć wobec dawnego czasu zachowanego w kamiennych kształtach. Tylko patrzeć, jak smukli trębacz podniosą do ust rogi, by zagrać fanfary. Tylko patrzeć, jak pod żelazną kratą bramy, sterczącą w dół kołczastymi zębami, stanie dziewczyna do Julii podobna. Słychać stamtąd kroki. Nie, to nie dziewczyna z przeszłości. Wysoko na moście zwodzonym, po drugiej stronie fosy, nad którą staliśmy, zjawiał się człowiek współczesny. Ponury, brudny, nędznie ubrany mężczyzna. Widocznie dokuczał mu wiatr, bo podniósł kołnierz jesionki, zasłaniając dolną część twarzy. Postąpił w naszym kierunku po moście zwodzonym i wtedy redaktor Szafraniec chwycił się za gardło, jakby chciał zapobiec okrzykowi. Spozobrzyłem w tej właśnie chwili wyrwę po jakimś pocisku, rozdziałając most na dwie odrębne części. W dole, może dziesięć metrów niżej, głązy kamienne porosłe mchem. Ale mężczyzna widział wyrwę równie dobrze jak my. Zatrzymał się tuż nad nią, spojrzął w dół, patrzył, patrzył długo rozszerzonymi oczami pobitymi fioletowym cieniem. Po jego rąkach błędną twarz jakby powleczonej wapnem — nie przebiegł żaden wyraz. Odwrócił się i odszedł tą samą drogą, pod ostrymi zębami kutej w żelazie bramy, znikając na zamkowym dziedzińcu. Trębacz nie grał. Tylko Szafraniec zacisnął tak mocno dłoń na gardle, że aż poczerwieniał. Roześmiałam się. Mój śmiech wywołał echo, potoczył się pod sklepieniami, co robiło takie wrażenie, jakby mi ktoś odpowiedział śmiechem. Wtedy Szafraniec zajął się rozluźnianiem kołnierzyka.

— Zobaczyłem upióra — powiedział i przegarnął dłonią włosy — psiakrew, mam takiego małego bzikę po wojnie. Zobacześ faceta i już tym gonili, wydaje mi się, że go znam... Ale z tym upiorem, to całkiem inna sprawa...

Założył ręce na plecach i ruszył wzdłuż murów przygarbiony, zapatrzonej we własny cień, co sunął przodem. Dłuższy czas szłam za nim w milczeniu, szukając oczyma pomiędzy zamkowymi zabudowaniami po drugiej stronie fosy czarnej sylwetki tamtego mężczyzny. Słoneczne ciepło grzało mnie w plecy, wiał miękki wiatr pachnący wierzbiną. Kiedy odlatywaliśmy z Warszawy, trzymał jeszcze tęgi mróz, a tu czuło się już wiosnę.

— No? — zapytałam usiłując nadążyć długim krokiem Szafrana.

Machnął ręką nie przystając.

— Przypomniało mi się. Na pewno. Dwa razy człowiek nie zmartwychwstaje. Raz, jak na zwykłego śmiertelnika, zupełnie wystarczy.

Znowu szedł bodąc głową przestrzeń przed sobą; wyczuwało się z jego krótkich odpowiedzi, że myślami jest nieobecny.

— Daj papierosa — powiedziałam, żeby go zatrzymać.

Stał oparty plecami o mur mając za sobą zielona-

we zwaliska, wznoszone ongi przez feudałów z ogromnych brył kamienia, kładzionych dłońmi ludu. Wyciągnął paczkę „Pionierów“. Nie pamiętając, żeby mi je podsunąć, wziął sam jednego i gniótł w palcach, patrząc z ogromnym skupieniem na ten ruch. O niczym zdawał się nie pamiętać, schował paczkę do kieszeni i dopiero przy szukaniu zapalek oprzytomniał.

— O, przepraszam cię. Chciałaś papierosa.

Patiliśmy milcząc. On wpatrywał się w dym z nateżeniem znamienym dla człowieka, którego myśl albo wyobraźnia pracuje w tej chwili bardzo żywo. Szukałam słów, jakimi dałoby się go skłonić do rozmowy, tymczasem on przechrzył się przez mur, strząsnął popiół do fosy i powiedział:

— Wiesz, ten facet na moście zwodzonym kogoś mi przypomniał... Dałbym sobie rękę uciąć, że to Seichorsch. Ale on przecież chyba nie żyje. Widziałem go po raz ostatni, gdy nas ewakuowano z Buchenwaldu do Dachau.

Zapatrzył się w półokrągły napis na papierosie, z którego wiatr odrywał okruszynki popiołu.

Zapytałam:

— Był z tobą razem w koncentraku?

Szafraniec uśmiechnął się drwiąco, poruszając brwiami.

— Poniekąd.

— Jak to „poniekąd“?

— Bo ja byłem więźniem, a on strażnikiem.

— Ach, tak...

— Tylko, wiesz, to był dziwny esesman.

Szafraniec przerwał, potarł brodę niestaranie ogoloną, zamyslił się.

— Już w trzydziestym ósmym, kiedy się znalazłem za kratkami, jako element wyrotowy, zauważyłem, że nie wszyscy spośród straży więziennej służy, że tak powiem, z powołania. Bywają tacy, którzy są bardziej więźniami niż strażnikami. Może nie uwierzysz, ale wśród esesmanów zdarzali się również tacy, choć dosyć rzadko, którzy nie byli hitlerowcami z powołania. Seichorsch do nich właśnie należał. Cóż, to były niby rzeczy niewielkie. Nie bił, nie torturował, przymrużał oczy na większość naszych obozowych przewinień. Milczał. W dobie największych zwycięstw Hitlera, kiedy innych ogarniał szal zbrodniczy, Seichorsch także milczał. Może miał takie usposobienie? Czy ja wiem? Wśród innych, zwyrodniałców i morderców, niemal nie dostrzegało się jego postawy.

Zamilkł na chwilę patrząc na wydeptaną przy murze ziemię, gdzie kiełkowała rzadka trawa i kładły się przesiane przez gałęzie drzew plamy słońca.

— Więc esesman-aniół? — zapytałam, pamiętając poży Francka i wielu innych, których obserwowałam przez ostatnie dni na sali rozpraw Międzynarodowego Trybunału Wojennego, którzy w obliczu grożącego im stryczka pragnęli się gwałtownie wybielić.

Szafraniec odpowiedział stanowczo:

— Nie. Każdy inteligentny człowiek rozumie, że bierny esesman nie przestawał być esesmanem, nie przedstawiał współuczestniczy w zbrodni, rozszerzać jej, kontynuować. Jasne, że kłaść uszy po sobie, to nie dosyć. Albo się staje po stronie morderców, albo się odchodzi, bez względu na następstwa. Seichorsch to człowiek lękliwy, mały... Na pewno nigdy nie odmówił wykonania rozkazu. Ot, był mniej groźny niż inni, to wszystko. Tymczasem...

Podniósł wzrok i spojrzął na mnie z ożywieniem.

— Właśnie minął rok od tamtych dni. Pomyśl! Rok życia. Również przed rokiem zostałem wyzwolony. Szliśmy piątkami ciągle na zachód, uciekając przed frontem. Ewakuacja obozu. Wyprowadzono pięć tysięcy ludzi. Po trzech dniach zostało już tylko trzy i pół tysiąca. Znasz te rzeczy. Ale tu jeszcze dołączył się element pośpiechu. Więc, uważasz, nasz konwój przyjął taki system, prosty i odkrywczy. Co pewien czas rozwalano z automatu dwie ostatnie piątki. Zabici zostawali. Żywi nigdy nie chcą zostawać w roli zabitych. Tak już jest, obserwowałaś to. Więc żywi podawali krok. O to właśnie chodziło esesmanom. O pośpiech.

Bali się. Wiesz, trudno maszerować wynędzniałym więźniom, kiedy od trzech dni zjedli jeden posiłek złożony z pół kwatarki żytniego ziarna. Zaczęły więc nas nachodzić wizje, jakiś obłęd, jakieś głodowe majaki. Przestałem pamiętać kim jestem i dokąd idę, czy miałem kogoś na świecie, czy nie. Kierowała mną zwierzęca obawa przed strzałem w plecy, szedłem, szedłem, żeby uciec od śmierci.

Nie, tego nie będę opowiadał, nigdy o tym nie mówię, tego w ogóle nie można powtórzyć. Zaczęłem o Seichorsch... dotknę zaledwie brzegu tych spraw. Siuchaj. Co parę kroków ktoś padał, ciemna postać zostawała na ziemi wtulona w kałużę krwi. Szliśmy drogą, przy której ustawiono stacje Męki Pańskiej. Dziś, kiedy to wspominam, uświadamiam sobie, że były to prawdziwe arcydzieła snycerstwa jakby wykonane ręką Wita Stwosza: postacie rozmiarów dorosłego człowieka rzeźbione w drzewie, pociemniałym ze starości, wstępowały pod górę, mając ten sam gest męczeństwa i rezygnacji, gest żegnania życia, co padający pod nimi ludzie. Już dawno wyczerpaliśmy siły naszych organizmów, a co gorsze, wyczerpaliśmy także siły ducha. Kroczący przy naszej piątce Seichorsch jęczał na każdym postoju:

— Ich hab genug... Hab'schon genug.

Tak. My też mieliśmy dosyć. I wzbierała w nas nienawiść do Niemców za tę masakrę dokonywaną z uporem, chociaż wiedzieli, że tam, za nimi, siedzi ogromny front, wyły pociski, jęczała ziemia.

Tę nocy lał deszcz wklepując nas w błoto coraz głębiej, grzebiąc nas, choć byliśmy jeszcze żywi. Leżaliśmy pod sosną usiłując się rozgrzać od moich towarzyszy. O wschodzie deszcz ustał. W słońcu powstawały nad nami obłoki pary, podobne do spadochronów uszytych z mgły, wznoszących się wolno w górę. Esesmani rozpalili ogniska, przyrządzali sobie śniadanie. Wówczas przykucnął obok nas pod sosną Seichorsch. Wydobyl z kieszeni kilka pieczonych w popiele ziemniaków i dał nam je. Znowu jęknął: Ich hab genug. Popatrzyliśmy wówczas w jego oczy. Był, tak jak my, wynędzniały, brudny, dziki. Wiedzieliśmy: dostawał jeść, ale dźwigał plecak i pokaźny erkaem. Zrozumielismy, że słowa „Hab schon genug“ należy brać bardzo dosłownie. Dziwne, jak szybko doszliśmy do porozumienia. Zanim ruszyliśmy w dalszą drogę, zostało ściśle ustalone, że razem z Seichorschem uciekamy następnej nocy. Na zasadzie wzajemnej obrony. Tak. Pilnował teraz naszej piątki, nie odchodził na pół kroku. Cóż? Odtąd mieliśmy z nim wspólną sprawę...

Tymczasem wypadki poszły innym torem. Plan ucieczki nie został wykonany. Koło południa — było to między miejscowościami Ham i Roding — doszliśmy do warkot. Nie, samolotów nie było w górze, a warkot rościł. Ktoś z nas obejrzał się na wzgórze. Czołgi! Ten krzyk poszedł po szeregach. Ryk motorów napłynął powietrzu, minął nas pierwszy czołg, drugi, trzeci. Jechali przez pole po zagonach i bruzdach, drążąc gąsienicami głębokie ślady. Omijały drogę, żeby nie trącić zabitych. Czołgiści wysiedli. Ukazali się Murzyni; gęby czarne, błyskające śnieżną bielą galek ocznych i lśniących zębów. Obok nich Amerykanie różnych pochodzeń: Polacy, Francuzi, Włosi. Dali nam esesmanów, byśmy karali. Zaczął się samosąd. Wieszano na słupach telefonicznych, używając nasiąkniętych jeszcze naszą krwią pejców jako stryczka.

Położyłem się na drodze i przestałem myśleć. Ogarnęła mnie senna obojętność. Ale zdawało mi się, że od strony słupów telefonicznych przywołuje mnie spojrzenie Seichorscha, z którym umówiliśmy się na ucieczkę.

Szafraniec odwrócił głowę, powiódł oczyma po moście zwodzonym, po zamku i mówił dalej:

— Wiesz Pessing otrzymała rozkaz otoczenia nas opieką. Siedziałem wtedy z kolegami w przydrożnym domu. Byłem syty. Wykapany. Przebrany cudacznie, ale czysto. Na kolanach trzymałem ogromne koło świeżo upieczonego chleba, wdychając z rozkoszą jego zapach i dotykając dłonią szorstkiej skórki. Przez pierwsze tygodnie nowego życia dla pewności nosiłem z sobą taki bochen. Więc wypozywałem wraz z kolegami, patrząc jak Niemka znosi dla nas białą pościel i rozkłada na łózkach, gdy jeden z nas powiedział:

— A wiecie cośmy zamierzali robić o tej porze? Mieliśmy uciekać razem z Seichorschem.

Było to już bardzo dalekie od nas, choć minęło zaledwie parę godzin. Ktoś odpowiedział śmiechem. Ktoś inny zadrwił:

— Seichorsch, łobuz, uciekł sam. Jest już pewnie na połowie drogi do nieba.

Wówczas uchyłono drzwi, w szparze ukazał się zielony kapelus tyrolski, spod którego wyglądała naznaczona strachem, zupełnie biała twarz esesmana Seichorscha. Stał w progu, a za nim przez uchylone drzwi było widać głęboki błękit kwietniowej nocy, migający na przemian światłami gwiazd i krótkimi błyskami rakiet. Widocznie po horyzoncie przetaczała się linia frontu. Stał bez ruchu. Widać było, że boi się drgnąć. Najwyraźniej nie spodziewał się spotkać na znajomym. Jego wygląd uległ zupełnej zmianie. Prócz myśliwskiego kapelusza, ozdobionego wielkim pękiem piórek, sterczących jakoś w bok nad lewego ucha, miał na sobie pulower w jaskrawą kratę i spodnie narciarskie dawnego kroju, bardzo szerokie, workowate, należące zapewne do wyjątkowo tęgiej kobiety. Patrzyliśmy na niego w milczeniu, rozumiejąc doskonale, co znaczyła maskarada: zdążył się już przebrać, a teraz mógł uchwycić za więźnia narodowości niemieckiej albo za obojętnego przechodnia. Pod naszym wzrokiem Seichorsch oderwał dłoń od kłamek, skurczył się, zmalał i nagle zdaliśmy sobie sprawę, że on kłęk. Zaczął szeptać bardzo niezrozumiale, broda latała mu jakby dostał febrę. Skrawki zdań, słowa powtarzane ciągle i z uporem, krążyły wokół jednego: mam żonę, mam dzieci, pragnę wrócić do swego miasta, gdzie byłem zecerem, pragnę żyć. Między nim i nami leżał na niskim stoleczku gospodarski nóż, długi może na trzydzieści centymetrów. Niemka kłoniła nisz pennany plecak na kolację i tak pozostawiała. Jeden z nas, nie pamiętam już który, wyciągnął rękę, ujął nóż.

— Co zamierzasz robić? — zapytałam go.

Dokończono na str. 17



Kesselring nad Rostowem

Ręczę za to osobiście, że wojna prowadzona była przez nas rycersko i o ile to jest w ogóle możliwe na wojnie — humanitarnie, chociaż od pierwszej chwili stwierdzono, że wróg dokonywał masakry.

KOMTUR POLITYKI ATLANTYCKIEJ

DZIEJE HITLEROWSKICH ZBRODNI, KLĘSKI PRUS I ODRADZANIA SIĘ NIEMIECKIEGO IMPERIALIZMU, OPÓWIEDZIANE WŁASNYMI SŁOWAMI FELDMARZAŁKA ALBERTA KESSELRINGA, SZEFA HITLEROWSKIEGO LOTNICTWA W WOJNIE PRZECIWKO POLSCE, NORWEGII, FRANCJI, ZWIĄZKOWI RADZIECKIEMU, NA CZELNEGO DOWODCY WEHRMACHTU WE WŁOSZACH, KATA WARSZAWY, ROTTERDAMU, COVENTRY, RZYMU, MARZABOTTO



6 lutego 1954. Znowu na własnym samolocie

Gdy leciliśmy na Coventry pogoda była wspaniała. Nie potrzebowaliśmy nawet radia, aby odnaleźć nasz cel. Następnego dnia obejrzelśmy zrobione przez nas zdjęcia fotograficzne. Bomby śledziły dokładnie w celu, ale podobnie jak w Rotterdamie — zniszczenia spowodowane zostały dopiero później, przez pożary wywołane bombardowaniem



Junii-Vortrag in der Reichskanzlei über meine Führungsansichten im Feldzug gegen Rußland

Kesselring, Jodl, Hitler, Guevina

Hitler wykazywał w kwestiach przeze mnie poruszanych zawsze jak najdalej posunięte zrozumienie i niemal bez dyskusji restrygował sprawy zgodnie z moimi propozycjami. Wobec mnie osobiście Hitler wykazywał wyjątkową troskliwość i względy. Te dowody zaufania przypisać mogę jedynie temu, że Hitler wiedział o mnie, iż obcuje z nim bez żadnych tajnych myśli.



Kesselring i Wolff

Od jesieni roku 1944 popierałem plan Obergruppenführera SS, Wolffa, dotyczący nawiązania kontaktów z Amerykanami w Szwajcarii.



Na zjeździe hitlerowców w Kassel

Powołuję się jeszcze raz na niemiecki Wehrmacht, jako właściwie klasyczny przykład rozwoju w kierunku ponadnarodowej sily zbrojnej. Czyż można więc zwątpić w przyszłość armii europejskiej, jeśli znamy takiego jej poprzednika?



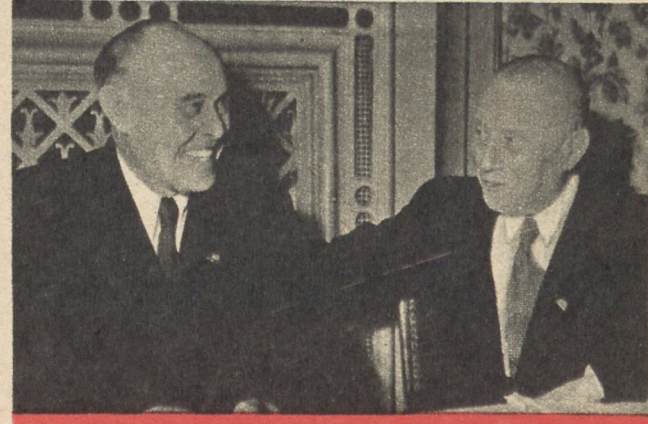
Z Hitlerem na ulicach Warszawy

Aby oszczędzić miasto (Warszawę) pozwoliłem na ataki bombowe przeciwko mostom i urządzeniom kolejowym tylko przy pomocy Stukasów i pościgowców... Z radością i dumą mogłem stwierdzić, że nasi lotnicy starali się z powodzeniem ograniczyć ataki — według rozkazu — tylko do ważnych pod względem wojskowym obiektów.



W amerykańskiej „niewoli”: Kesselring, amerykański gen. Hodge, gen. Taylor.

General Taylor był bardzo miły i uprzejmy. Zaprosił mnie do „Berchtesgader Hof”. Zatrzymałem broń, ordery i buławę marszałkowską. Postawa amerykańskiego generała była wzorowa.



Jako przewodniczący Stahelmu w rozmowie ze swoim zastępcą.

Żołnierz europejski będzie wkrótce konkretną rzeczywistością, toteż dla Stahelmu najpilniejszą sprawą i koniecznością jest popieranie EVG (układu o „europejskiej wspólnocie obronnej”)

Wojna z bandami musi być prowadzona przy pomocy wszystkich dostępnych środków i z największą surowością. Ochronie każdego dowódcy, który przekroczy stosowaną zazwyczaj miarę w wyborze i surowości środków... W okręgach, w których bandy występują częściej, należy aresztować określony odsetek ludności męskiej i w wypadku gwałtu rozstrzelać. Jeżeli żołnierze zostaną ostrzelani z jakiegokolwiek wsi, należy ją spalić.

Włotki obój Grassiani i Kesselring

Boże Narodzenie roku 1946 i Nowy Rok 1946/47 mogliśmy spędzić w domu z moją rodziną.

Na wsiennym „urlopie”, z żoną

„Żołnierz do ostatniego dnia”. Tak nazwał swą autobiografię Albert Kesselring, który do używanego dotąd tytułu feldmarszałka pragnie dodać w przyszłości tytuł prezydenta republiki bońskiej oraz jednego z szefów „armii europejskiej”. Panu Kesselringowi i jego współtowarzyszom przypominamy: KARTAGINA TRZY RAZY ROZPOCZYNAŁA WOJNĘ. W PIERWSZEJ WOJNIE PONIOSŁA KLĘSKĘ. PO DRUGIEJ WOJNIE — JESZCZE ISTNIAŁA. PO TRZECIEJ — NIE POZOSTAŁ PO KARTAGINIE NAWET ŚLAD



KESSELRING
Soldat
bis
zum
letzten

25.

POLANIE mieszkali z osobna, każdy ród na swoim miejscu. Było trzech braci: jednemu na imię Kij, drugiemu Szczek, a trzeciemu Chorew; siostra ich Łybedź nazywała się, Kij siedział na górze, gdzie dziś wawóz Boryczew, a Szczek także na górze, co się dziś Szczekawicą zowie, a Chorew na trzeciej górze, która od niego wzięła nazwę Chorewicy. I wybudowali gród, który na cześć najstarszego brata nazwali Kijowem. Był las pod grodem i bór wielki; trudnili się więc mieszkańcy łowiectwem, byli mądrzy i przemyślni, nazywali się Polanami, od których są w Kijowie Polanie i po dziś dzień. Tak opowiada Nestor o legendarnych początkach Kijowa w swej kronice pisanej w XII wieku. Legenda z historią często bywa na bakier, lecz jeśli nawet podanie mija się z prawdą, to pierwsza historycznie pewna data jest wystarczająco odległa w czasie. Kijów ma przeszłość ponad tysiącletnią!

W dwie godziny po przyjeździe ruszamy na zwiedzenie miasta. Pierwsze co oglądamy, to pomnik Lenina wzniesiony w X rocznicę Konstytucji Stalinowskiej. Stoi na pięknym tle podwójnego szpaleru topoli, ciągnących się przez cały Bulwar Szewczenki. Gdzieś w pobliżu powinien być gmach dawnego I Gimnazjum, utrwalaony w „Dawnych latach” Konstantego Paustowskiego... Już jedziemy dalej. Za szybko, by dopytać się o mijane ulice. Zielen, chociaż bezlistna teraz i zimowa, przykuwa uwagę. Dużo jej tu, bardzo dużo: 16 metrów kwadratowych na 1 mieszkańca. Kijów liczy dziś 840 tysięcy ludności, liczba ta ma wzrosnąć w najbliższej przyszłości do 1.300 tysięcy. Miasto rozbudowuje się, odbudowa zniszczone wojennych (ok. 50% budynków) została już zakończona. Kijów wyzwoliły oddziały I Frontu Ukraińskiego nagłym szturmem w nocy z 5 na 6 października 1943 roku. Jedno z zadań, jakie postawiono oddziałom, mówiło o szybkim zawładnięciu terenem wokół dwóch nie zburzonych jeszcze pomników: Szewczenki i Bohdana Chmielnickiego. Wszystkie inne pomniki kijowskie hitlerowcy wysadzili w powietrze w pierwszych dniach trwającej 26 miesięcy okupacji. Szybkość nocnego natarcia i zaciekłość boju (było to w rocznicę Rewolucji!) uratowały i Chmielnickiego i Szewczenkę.

Pomnik Szewczenki odsłonięto w 125 rocznicę urodzin poety w roku 1939. Dookoła cokołu z różowego grani-

Widok na Kreszczatik



tu — drzewa i trawniki. Na wiosnę, która zaczyna się w Kijowie wylewem Dniepru, kwitną tu piękne kwiaty... „Przyjeďte do Kijowa na wiosnę!” — zachęca nasza przewodniczka. Wiosna daleko, a zmierzch już pada w ulice, więc szybko „do koni” i dalej w drogę.

Przed Uniwersytetem im. Szewczenki autokary zatrzymują się na jeszcze krótszą chwilę. Dawny gmach spłonął podczas wojny. Hitlerowcy, słynni z „umiłowania” kultury, zostawili w murach uczelni 10 tysięcy min. Saperzy radzieccy rozbili miny, uniwersytet odbudowano. Po staremu otynkowano go na czerwono, jak dawniej osiem kolumn podtrzymuje wejście, jak wszędzie, tak i tu zasadzono stare drzewa.

Od uniwersytetu jedziemy w stronę Dniepru. Mijamy po drodze Muzeum Lenina, gmach Akademii Nauk, Operę (też imienia Tarasa Szewczenki) i zbliżamy się do miejsca, gdzie były niegdyś wały obronne otaczające stary Kijów. Z fortyfikacji pozostał okrutnie słynny Złoty Brama. Według legendy, właśnie na niej wyszczerbił swój miecz Bolesław Chrobry, lecz nowsze badania stwierdzają przekonywająco, że Złota Brama w tym czasie nie istniała jeszcze. Zbudowano ją prawie dwadzieścia lat później. Jeśli więc Chrobry uderzał, to uderzał w inną.

Coraz bliżej złota kopuła dzwonnicy soboru św. Zofii. W roku 1037 książę Jarosław pokonał Pieczyngów i na polu bitwy postawił cerkiew. Ze starej świątyni przetrwała do naszych czasów tylna ściana prezbiterium, nazwana „niewzruszoną”, bo ona jedna uchroniła się od wszelkich zniszczeń i klęsk. Obecnie pokrywa się kopuły soboru złoconą blachą.

Tuż obok soboru stoi znany pomnik Bohdana Chmielnickiego. Dzikie wino oplata cokol.

Z placu przed soborem widać stację telewizyjną. To sąsiadstwo tysiącletniego zabytku otoczonego pieczołowitą opieką i nowoczesnej techniki nie jest przypadkowe. To jakby symboliczny skrót, mówiący nie tylko o Kijowie, lecz o całym kraju.

Czas nagli. Ledwie wsiedliśmy, autokary pędzą dalej. Przez Plac Kalinina, Kreszczatik... O, tu pod numerem 29 była słynna księgarnia Idzikowskiego, z takim sentymentem wspominana przez Paustowskiego. Ba, była, lecz gdzie szukać parterowego domku? Kreszczatik rozrósł się wspaniale! Szeroki na 70 metrów, zabudowany wielopiętrowymi gmachami, stał się piękną aleją pięknego miasta. Drzewa po obu stronach... Prawda, mówiłem, że drzewa są wszędzie. Więc z Kreszczatiku na Plac Stalina — to centrum miasta. Stąd ulicą Kirowa... W pobliżu stadionu na 70 tysięcy widzów... A na miejscu carskiej cytadeli stoi letni teatr na 4.000 widzów. Jesteśmy na Peczersku. Tu, w kijowskiej fortecy, w tak zwanej Mikołajowskiej Bramie, siedział za udział w powstaniu mój dziad skutły w kajdany.

— Popatrzcie, jaki stąd piękny widok na Dniepr! — mówi nasza przewodniczka. — Oto nowy most, otwarty w rocznicę Rewolucji, którą świętowaliśmy w Moskwie. Stary most wysadzili hitlerowcy razem z tysiącami mieszkańców Kijowa... Pójdziemy do Mogiły Askolda, tam mały cmentarz. Pochowani na nim bohaterowie polegli w walce o wyzwolenie Kijowa. Tam Ławra Peczerska... Chodźmy obejrzeć pomnik generała Watutina, dowódcy Frontu Ukraińskiego. Poległ pod Łuckiem w 1944 roku...

W parku, koło pomnika, powiedział mi Figiel:

— Ależ to Kraków...! Patrz, tu jakby Plac Szczepański, tam Planty, a tędy do kawiarni Drobnera...

— Tam czekają autobusy. Słyszysz? Mamy obejrzeć jeszcze gmach Rady Najwyższej, dawny pałac carski, gmach Rady Ministrów i budynek Centralnego Komitetu Partii. Potem pomnik postawiony ku czci robotników poległych podczas Rewolucji...

— Tak, tak — gorączkuje się Figiel — ale ja czuję się tu jak w Krakowie! Rozumiesz, jak u siebie!

Nagle któryś z towarzyszących nam związkowców radzieckich zwraca się do przewodniczki:

— Słuchajcie, przecież jest zupełnie ciemno...

Zalega milczenie. Zdziwieni wszyscy, że nikt nie zauważył wcześniej. Przecież już nad Dnieprem... Podziwiając piękny widok, widzieliśmy tylko światła, tysiące migocących ogników po tamtej stronie rzeki. Przypominam sobie, że ktoś mówił: „O, tam pewnie Darnica, przez którą przejeżdżaliśmy w południe...”

Idziemy do autobusów. Jest coś w atmosferze miasta, jest... Po kilku godzinach Kijów przestał być obcy nie tylko mnie, ale i moim towarzyszom. A ich nie łączy z miastem ani wspomnienia rodzinne, ani uczuciowe więzy. I co dziwniejsze, ulegliśmy urokowi Kijowa w początkach zimy, gdy wszystko szare i bezbarwne. Wyobrażam sobie, jak Kijów pięknieje z wiosną! Jak kolorowa w nim jesień...

Jedziemy w dół, potem Kreszczatikiem, potem znowu w górę...

26.

Wieczorem oczywiście do Opery. Od hotelu blisko, więc idziemy piechotą, co też warto podkreślić, bo odwykliśmy od spacerów zupełnie. Pasek sygnalizuje co najmniej dwa kilo nadwagi. Tylko Kolejarz zaprzecza z uporem, ale już pytał o igłę, więc pewnie cichcem będzie przeszywał guziki.

Opera w znaczeniu warszawskim zaczęła się w szatni. Kijowianie w teatrze dziwnie są ospali. Nikt nie nurkuje między nogami bliźnich, nikt łokciami nie toruje sobie drogi. Poddając się miejscowym zwyczajom czekamy cierpliwie w kolejce. Przede mną dobroduszy Czech, przed Czechem jasnowłosy chłopczyk z palotocikiem pod pachą. Czech kręci się znużony, wreszcie zaczyna gładzić chłopca po głowie i odzywa się z uśmiechem:

— A ty, m a l c z y k, do której chodzisz klasy?

Chłopiec odburknął coś pod nosem, ale nie odwrócił głowy. Mnie śmiech bierze. Pamiętam doskonale, że do szachu doprowadzała mnie taka bezceremonialna poufałość. Chodzi człowiek do takiej klasy, do jakiej chodzić powinien. Czasem o rok niżej, ale nie musi o tym wiedzieć każdy obcy. Lecz Czech przyjął za dobrą monetę nadające pomrukiwania chłopca, bo już pyta dalej:

— A ileż ty masz lat? Powiedz, m a l c z y k, wujkowi, powiedz...

No i chłopczyk odwrócił się wreszcie. Czech jęknął głucho, po mnie ciarki przeszły.

— Czterdzieści sześć lat! Ja liliput! — krzyknął m a l c z y k, wyprowadzony z równowagi.

— Chodźmy do innej szatni... — błagalnie szepnął Czech.

Zachowałem się cynicznie. Udałem, że nie rozumiem, i w ślad za liliputem oddałem szatniarce swoje pałto. Fotem nie zwlekając pośpieszyłem na salę, bo już dzwoniło trzeci raz.

Kijowska Opera jest biało-złota. Fotele i kurtyna, jak wszędzie, tak i tu czerwone. Mogliśmy trafić na „Bohdana Chmielnickiego” (a bardzo byłem ciekaw tej opery, do której libretto napisali Wasilewska i Korniejczuk), lecz przyszliśmy o trzy dni za wcześnie. Zobaczymy więc „Carmen”.

Już na poprzednio oglądanych przedstawieniach rzucała się w oczy niezwykła staranność i precyzja w wykonaniu dekoracji, daleka od teatralnej umowności. Każdy wystawia po swojemu, myślałem w Mińsku patrząc na „Dziewczynę z Polesia”. Na scenie rwały się pociski, padały ściany trafionych domów, i to wszystko, odbywające się zgodnie z prawidłami sztuki wojennej, sprawowało dosłownie wstrząsające wrażenie. Podczas odsłony, w której partyzanci czekają w zasadzce na pociąg wiozący amunicję (lokomotywę pokazano zręcznym filmowym trikiem rzucając obraz na ekran umieszczony w głębi sceny), jeden z moich towarzyszy powiedział szepem:

— Dobra robota. Tak się robiło te rzeczy... Zaraz odpalą ładunki... O, już wszystko poszło w diabły...!

Przymknąłem wtedy oczy. Wydawało się, że kawałki poszarpanych wybuchem wagonów spadną mi na głowę. Po przedstawieniu pytałem kolegów o wrażenia. Chwalili nieomal bez zastrzeżeń. Oczywiście, przy takiej metodzie hitlerowcy nie powinni salutować dwoma palcami, bo tak nie było w życiu. Lecz to już drobiazg. A więc, co lepsze, umowność, czy też obraz jak najbliższy prawdziwego życia? Wątpliwości zrodziły się w Mińsku, a urosły w Kijowie. Oto jedna z dekoracji „Carmen”: piękne skały, brzeg morza, maszt stateczku kołysanego przez fale, a daleko mały półwysep. Na nim mała latarnia morska.

— Patrz, mruga światłem jak prawdziwa...

Widzę i to właśnie zmusza do zastanowienia. Co czyni teatr bliższym? Trudno zacisnąć oczy, zatkać uszy, by nie słyszeć, że z równą pasją oklaskuje widownia radziecka i grę aktorów i wystawienie sztuki.

Mówiliśmy o tym podczas antraktu paląc papierosy przed wejściem do palarni. Nagle ktoś aż zachłysłął się z wrażenia:

— Nie, to nie do wytrzymania...! Przecież my wszyscy stoimy w cieniu tego człowieka!

Rzeczywiście, o parę kroków od nas dwumetrowy olbrzym w mundurze czołgisty.

— Chodźmy do bufetu. Na pewno chce wam się pić...

Równie gwardyjskie są kijowskie dziewczęta i panie. Wysokie, długonogie, zbudowane... Zamyślony popijam musującą oranżadę, a jeden z kolegów (nie mogę wciąż reklamować Kolejarza...) wygłasza następującą sentencję:

— Im dłużej człowiek poza domem, tym ładniejszego spotyka po drodze kobiety. Możecie mi wierzyć, ja, mąszynista, nie z jednego pieca chleb musiałem jadać.

Po teatrze, późnym wieczorem, wysyłam depezę do Warszawy. Uprzedzam, że będę telefonować przez Moskwę z Kijowa.

Hermann Abendroth

Znakomity dyrygent niemiecki, profesor Hermann Abendroth, urodzony 19 stycznia 1883 w Frankfurcie nad Menem, od najmłodszych lat poświęcił się karierze muzycznej. Mając lat 20 z takim talentem dyryguje amatorskim zespołem „Münchener Orchesterverein”, że zwraca na siebie uwagę dyrektora teatru miejskiego w Lubece, który powierza mu kierownictwo muzyczne teatru. W r. 1914 obejmuje kierownictwo filharmonii oraz dyрекcję konserwatorium w Kolonii. W 1919 r. otrzymuje tytuł profesora.

Światową sławę zdobył Hermann Abendroth jako genialny interpretator niemieckich klasyków: Mozarta, Bacha, Beethovena, Brahmsa. Równocześnie jest on tym dyrygentem, który na estrady europejskie wprowadził po raz pierwszy wiele dzieł młodych kompozytorów francuskich, radzieckich, polskich i innych.

W swojej długiej karierze dyrygował on orkiestrami we wszystkich niemal krajach Europy. Wybitny wychowawca cieszy się olbrzymią popularnością wśród muzyków. W roku 1949 profesor Hermann Abendroth odznaczony został Nagrodą Państwową Niemieckiej Republiki Demokratycznej.



Z okazji 10-lecia istnienia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przesyłam swoje najserdeczniejsze życzenia.

Od 30 lat łączą mnie bliskie stosunki z kulturalnym życiem Polski dzięki liczным koncertom, jakie miewałem w Warszawie, Krakowie, Łodzi i Poznaniu, i dlatego tym łatwiej mogę stwierdzić niezwykle postęp, jaki się tutaj dokonał.

Niesłychanie szybkie tempo, w jakim się w przeciągu dziesięciu lat odbudowały ziemie i miasta polskie, budzą prawdziwy i pełen przyjaźni podziw, a w szczególności zdumienie wprawia rozmach, z jakim Warszawa odzyskuje dawne swe piękno i świetność.

Zaprzysiężonemu, sąsiadkiemu Krajowi składam życzenia trwania w pokoju i twórczej pracy oraz dalszego pomyślnego rozwoju i rozkwitu.

Welche ungeheure Entfaltung der Stadt Warschau ihre frühere Schönheit, ihren alten Glanz weitergegeben hat.

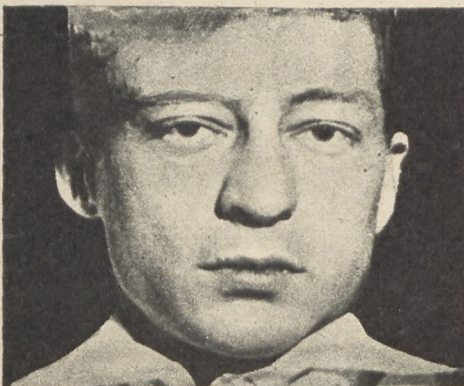
Ich wünsche dem befreundeten Nachbarland Wohlergehen, friedliches Schaffen und Gärten und weiteres Blühen, Wachsen und Gedeihen.

Hermann Abendroth

Stetson Kennedy

Stetson Kennedy należy do grona postępowych publicystów amerykańskich. Jego publikacja, omawiająca zagadnienie pracy niewolniczej w Stanach Zjednoczonych, którą w formie memorandum przedłożył Organizacji Narodów Zjednoczonych, zamaskowała prawdziwe oblicze współczesnych handlarzy niewolników w USA.

Prześladowany za swe postępowe poglądy Stetson Kennedy musiał emigrować z ojczyzny i przebywa obecnie w Europie.



W dziesiątą rocznicę wyzwolenia Polski spod hitlerowskiego jarzma i utworzenia ludowego Państwa, ta „inna” — to znaczy demokratyczna — Ameryka przyłącza się do wszystkich miłujących pokój narodów, składając Nowej Polsce swe najserdeczniejsze życzenia z racji wspaniałych osiągnięć, jakie się dokonały w Waszym Kraju.

Nierozzerwalne więzy łączące naród polski z amerykańskim datują się jeszcze z czasów Rewolucji w Ameryce, kiedy wielki Kościuszko przybył do nas, by wspomóc narodowi amerykańskiemu w obaleniu angielskiego ucisku.

Tak się złożyło, że dwaj moi przodkowie, Arthur Middleton i William Williams, należeli do tych, którzy złożyli swe podpisy pod amerykańską Deklaracją Niepodległości. Dziś miliony Amerykanów deklarują swoją niepodległość od nowoczesnego imperializmu, reprezentowanego przez Wall Street.

My, należący do tej „innej” Ameryki, zdajemy sobie doskonale sprawę z olbrzymiej, konstruktywnej roli, jaką odgrywa Polska, która współdziałając ze Związkiem Radzieckim oraz innymi krajami obozu pokoju staje na forum Narodów Zjednoczonych w obronie nie tylko narodu amerykańskiego, lecz wszystkich narodów, przed zakusami żarłocznych piratów z Wall Street.

Prawda tego stwierdzenia jest zapisana nie tylko na kartach historii, lecz również w sercach narodu amerykańskiego i wszelakie hyeny prasy USA nie są w stanie temu zapobiec.

Nowa Polska, która potrafiła podźwignąć się z ruin i na podstawach socjalistycznych stworzyć potężną bazę przemysłową, stanęła obecnie na progu wspaniałej przyszłości. Napędza to radością cały świat.

Paul Hogarth

Paul Hogarth, wybitny rysownik angielski, należy do czołowych działaczy ruchu obrońców pokoju. Jako student Manchester School of Art wstąpił do Brygady Międzynarodowej w Hiszpanii, gdzie służył w Batalionie Brytyjskim.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej odwiedził wielokrotnie kraje demokracji ludowej, za każdym razem przyróżając tekę rysunków przedstawiających odbudowę zniszczonych miast i fabryk oraz bujne życie socjalistycznego społeczeństwa. Kilkakrotnie odwiedził też Polskę.

W latach 1949—1950 był w Hiszpanii i Grecji, skąd przywiózł dziesiątki rysunków, demaskujących terror faszystowskich rządów.

Jako działacz brytyjskiego ruchu obrońców pokoju brał Hogarth udział m. in. w Kongresie Wroclawskim i Warszawskim.



Od czasu zakończenia wojny niejedna zmiana dokonała się w życiu wielu narodów. Sam widziałem, jak niektóre z tych zmian wyszły narodom na dobre, a inne — pogorszyły ich sytuację. Spośród wszystkich krajów, jakie wybrały nową drogę życia, a które od owego czasu zwiedziłem, w żadnym nie spotkałem się z tak wstrząsającym świadectwem przeogromnych zmian, jak te, które zaszły w dzisiejszej Polsce.

Latem roku 1953 podróżowałem po całej Polsce wykonując wiele rysunków, odzwierciedlających Wasze codzienne życie i Wasze osiągnięcia. Często przypominałem sobie mój pierwszy pobyt w Polsce w roku 1948. Rojne ulice zburzonej Warszawy świadczyły o niezłomnej woli mieszkańców odbudowy swego miasta. Każdy zaciskał zęby i z nieprawdopodobnym zapalem zabierał się do oczyszczania miasta z gruzów. Życie było wtedy niezmiernie ciężkie, a na każdej twarzy widział się ogrom cierpienia.

Jakże inaczej dziś wyglądają te twarze. Z każdego rysowanego przeze mnie portretu robotnika zamiast cierpienia i niepomiernej wysiłku wyziera dumna czołowieka, czującego się gospodarzem swojego kraju.

Zbiorowy wysiłek całego narodu umożliwił nieprawdopodobne — niekiedy zakrawające po prostu na cud — osiągnięcia w dziele szybkiej odbudowy całych obszarów kraju i stworzenia nowych, wielkich ośrodków przemysłowych.

W ciągu dziesięciu zaledwie lat Polska odbudowała się jako wielki naród, w całej pełni powołany do odegrania doniosłej roli dla dobra całej ludzkości. I to właśnie sprawia, że Nowa Polska stanowi dziś wielką siłę moralną całego obozu pokoju. Jej rozwój gospodarczy i polityczny jest ważnym czynnikiem w rozwoju prawdziwej i trwałej przyjaźni pomiędzy wszystkimi narodami na świecie.

and political influence of major importance in developing real and lasting friendship between the peoples of the world.

Paul Hogarth
Paul Hogarth

Gerard Philipe

Gérard Philipe, przedstawiciel najmłodszej generacji artystów francuskich — ma dopiero 29 lat — należy do najwybitniejszych i najpopularniejszych aktorów we Francji i poza jej granicami. Jako uczeń szkoły średniej marzył o karierze lekarza kolonialnego, który w dalekiej Afryce mógłby pomóc uciskany ludom. W czasie okupacji hitlerowskiej poznał reżysera Marc Allegrete, który skłonił go do studiów aktorskich.

Po wyzwoleniu na młodego aktora zwraca uwagę odradzająca się kinematografia. Gra m. in. w filmach: „Kraj bez gwiazd”, „Z diabłem we krwi”, „Pustelnia Parmeńska”, „Fanfan Tulipan”.

Gérard Philipe jest nie tylko wybitnym aktorem, ale także aktywnym bojownikiem o pokój, członkiem prezydium Francuskiego Komitetu Obrońców Pokoju. Należy również do Komitetu Obrony Filmu Francuskiego. Ostatnio związał się z Teatrem Ludowym, który upowszechnia teatr wśród mas robotniczych stolicy Francji.



Osiągnięcia Polski w ciągu lat ostatnich są tak poważne, że każde z państw mogłoby sobie życzyć ustroju podobnie dbającego o rzeczywiste potrzeby ludu.

Z radością i uczuciem prawdziwej dumy jesteśmy od pewnego czasu we Francji świadkami wydarzeń, które, choć przejawiają się niekiedy w sposób jedynie doraźny, niemniej świadczą o trwałych siłach tkwiących w naszym narodzie.

Przykład Waszego kraju budzi w nas podziw i szacunek. Proszę przyjąć zapewnienia moich najserdeczniejszych uczuć.

Veillez croire, Monsieur, à l'assurance de tous mes meilleurs sentiments.

Philipe



Wróżąca z ręki szybko wpadła w trans i podała klientowi jego charakterystykę: „Ma pan skłonności do otyłości, lubi się pan tarzać w błocie i chrząka pan wtedy z zadowolenia...” — „Ach, zapomniałem zdjąć rękawiczki ze świńskiej skóry!”... Ten stary kawał przypomina się teraz, kiedy przedstawiamy naszym Czytelnikom na tej stronie garść wieści z zaświatów na temat przyszłości naszego kraju. Wróżbici opierali wtedy swe proroctwa właśnie na oglądaniu zewnętrznego powłoki obskurantyzmu i zacofania, która spowijała Polskę. Kiedy lud zdarł tę zasłonę — przyszłość daje się bezbłędnie odczytać z kominów nowych fabryk i domów mieszkalnych, z huku traktorów spieszących w pole.

Nr 9

22 — 28 lutego 1954

Pasjans i jego dzieje GRA SAMOTNIKÓW SŁUŻY NIE TYLKO CIOCIOM I BABCIOM

Ktoś, nie wiadomo kto, ale znowu we Francji, wymyślił — zdaje się dla któregoś z królów — nową grę. Grę z samym sobą — pasjansem zwaną. Jest w tej grze coś z kabały, coś z kuszenia losu, by dał pomyślną odpowiedź na liczne pytania o przyszłość.

Liczba istniejących pasjansów nie jest znana, jedne zbiory zawierają sto, inne magiczną cyfrę 77.

Znudzonym rezydentom, drepzczącym cały dzień bez celu, pasjans pomagał „zabijać czas”, którego zawsze mieli za dużo, i odsuwał smutne myśli o dawnym powołaniu, o obecnej niedoli.

Wielkim twórcą i mężem stanu pozwalał na chwilę wytchnienia, na krótkie zapomnienie o ciężkich na nich obowiązkach i odpowiedzialności.

W cieniu piramid i wśród śnieżnych pól Rosji kładł pasjans Mały Kapral, wróżąc z nich o zwycięstwie lub klęsce. Nikt nie wie, jakie odpowiedzi szeptał mu los, ale pewnie od nich zależało rozpoczęcie lub zakończenie niejednej bitwy.

Mijały lata, zmieniali się ludzie i warunki życia. Ale na dnie duszy każdego z nas drzemie po dawnemu pragnienie poznania przyszłości. I dziś te babie i ciocie, które nie mogą dostosować się do współczesnego

tempa zrezygnowały z walki ze starością, stawiają wieczorami pasjans, pytając losu o przyszłość swych dzieci. Jeżeli wyjdzie, to Stefan dostanie posadę, Bogdan zostanie rotmistrzem, Tadek ożeni się z Alą... Wyszedł! Co za szczęście — można z lepszym sercem iść spać.

A jutro siwa ciocia znów zacznie pukać do tajemnicznych drzwi Przyszłości... Nie wyszedł! Może jednak mimo to nie stanie się nic złego. Ta gra samotników służy dalej nie tylko ciociom i babciom, bystro patrzącym spoza okularów... I wielcy mężowie, dźwigający na barkach losy swych narodów, szukają rozrywki i odpoczynku w pasjansie.

W Muzeum Belwederskim spoczywają karty, którymi pasjans ukuł Marszałek Józef Piłsudski.

„ŚWIATOWID”, 22 lutego 1936 r.



Marszałek Piłsudski był zapalonym zwolennikiem pasjansu. Zdjęcie z czasów pobytu Marszałka na Madrze (1931).

1935 Żyjemy w epoce Marsa a od roku 1945 nastąpi period księżycy

Wartość astrologii polega na jej zgodności z życiem. Wszak astrologia nie zajmuje się bynajmniej wskrzeszaniem przebrzmiałych mitologicznych koncepcji starożytności i nie operuje pojęciami oderwanymi, lecz ma do czynienia wyłącznie z żywymi siłami kosmicznymi, których działanie można zawsze sprawdzić eksperymentalnie. Wielkość astrologii jako nauki opiera się na jej charakterze doświadczalnym.

Przed laty trzydziestu wydał inżynier Rudolf Mewes książkę „Kriegs und Geistesperioden der Völker” (r. 1897). Ustalił w niej na okresy czasu 55 i 56-letnie powtarzające się wybuchy wojen i rozkwitu kultury. Ten rytm 27 i 28-letni ustala on jak następuje:

1737—1765 Fryderyk II, wojna śląska, etc.
1763—1793 rozkwit literatury niemieckiej,
1793—1821 wojny napoleońskie,
1821—1848 sztuka i nauka,
1848—1876 wojny niemieckie,
1876—1905 rozkwit nauki i sztuki,
1905—1932 wojna światowa,
1932—1960 pokój, rozwój kultury.
I wedle przypuszczeń berlińskiego inżyniera ma iść tak dalej:
1960—1985 wojna,
1985—2016 pokój,
2016—2044 wojna, itd.

Jak z tego wynika — nie można zaliczać p. R. Mewesa do pacyfistów. Ale przepowiednia o wojnie udała mu się.

Na tle tych różnorodnych wysiłków umysłu ludzkiego pragnącego przeniknąć tajemnice cykli historii — właściwa teoria astrologiczna wygląda dość skromnie. Ogranicza się ona bowiem do stwierdzenia, że co 36 lat powtarzają się w kolejności odwrotnej do dnia tygodnia — okresy, rządzone przez poszczególne planety.

Obecnie mamy od roku 1945 cykl 36 lat Marsa, który trwać będzie do roku 1944 włącznie. Trzeba dodać, że każdy rok ma tu jeszcze swe specjalne znaczenie i jest rządzone przez inną planetę — astrologicznego regenta. Rok Marsa zaczyna cały cykl i kończy go. Całość przedstawia się zatem w ten sposób:

Mars	1909	1916	1923	1930	1937	1944
Słońce	1910	1917	1924	1931	1938	
Wenus	1911	1918	1925	1932	1939	
Merkury	1912	1919	1926	1933	1940	
Księżyc	1913	1920	1927	1934	1941	
Saturn	1914	1921	1928	1935	1942	
Jowisz	1915	1922	1929	1936	1943	

Żyjemy zatem jeszcze ciągle w epoce Marsa. Po okresie Marsa nastąpi od r. 1945 period księżycy, patrona podróży, szerokich mas ludności, płodności, kobiet, dzieci, a także poetów i literatury. A więc możemy od r. 1945 oczekiwać niezwykłych środków lokomocji, znacznego spotęgowania się feminizmu, no i — wspaniałych arcydzieł literatury.

Jan Starża Dzierżbicki
prezes Polskiego Towarzystwa
Astrologicznego
„ŚWIATOWID”, 6 sierpnia 1935 r.

1937 „Wypełniała mnie wówczas energia kosmiczna...”

Wywiad ze Stefanem Ossowieckim

Przychodzę punktualnie na umówioną 10 godzinę z rana. Czekam w hallu, ozdobionym gdańskimi meblami, na ścianach wiszą stare sztychy. Z sąsiedniego pokoju, gdzie znajduje się gospodarz, słyszę głosy, omawiające sprawy związane z jego „prywatnym” zajęciem, ja-



Stefan Ossowiecki — „człowiek, dla którego nie ma tajemnic”.

ko współwłaściciela Towarzystwa przemysłowo-chemicznego.

Wkrótce zjawia się ten, na którego czekam z niecierpliwością. Całe zachowanie inż. Ossowieckiego jest zniewalająco proste i serdeczne. Wysoki i baczysty, o typie słowiańskim, ma dziwnie jasne niebieskie oczy, o fascynującym spojrzeniu.

Jasnovidz wprowadza mnie do niewielkiego saloniku, lecz przepelnionego interesującymi przedmiotami. Zwracają uwagę ciekawe pamiętniki, zebrane w czasie arcybogatego żywota. A więc: listy od papieża, fotografia Marsz. Piłsudskiego z piękną dedykacją: „Panu Stefanowi Ossowieckiemu na pamiątkę naszych rozmów, w zrozumieniu tego, czego nie ma, a co jest”, obok pas wojskowy, który nosił Marszałek, fotografia Mussoliniego, również z serdeczną dedykacją, przesłana jako akt wdzięczności za pochlebny artykuł.

Inż. Ossowiecki posiada zdolność nie tylko przenoszenia się w najdalsze zakątki teraźniejszości, lecz poza tym w przeszłość. Jasnovidz bardzo wcześniej odkrył dziwne swe właściwości, które przeszły szereg różnych faz. Już mając 14 lat, Ossowiecki miał zdolności telepatyczne, a gdy był studentem Instytutu Technologicznego, właściwość ta przekształciła się w zdolności medialne. W jego obecności ruszały się przedmioty. Następnie niezwykła: zdolności poczęły objawiać się w innej formie, telekinezyjnej (samymi wysiłkiem woli dziwny ten człowiek mógł przenosić odległe przedmioty). Okres ten jasnovidz nazywa najciekawszym. Spętany silnie sznurami, mając unieruchomione ręce i nogi, mógł poruszać ciężkie przedmioty, ścigać obrazy ze ścian, zdejmować ubranie, przesuwając figury marmurowe. Ossowiecki tłumaczy w następujący sposób swoje zachowanie: „Robiłem w tych chwilach olbrzymi wysiłek woli, nadzwyczajnego skupienia. Równoważnikiem energii, którą wkładałem wprowadzając siebie w ten stan prawie kateleptyczny, była energia kosmiczna, która wypełniała mnie wówczas wewnątrz i przez nią właśnie przesuwalem lub podnosiłem przedmioty. Ten wysiłek mógł trwać chwilę; o ile przeciągał się dłużej, traciłem siłę i przedmiot upadał. Warunkiem koniecznym, aby doświadczenie się udało, musiała być zupełna cisza”.

Doświadczenia Ossowieckiego można podzielić na kilka grup:

1) Doświadczenia, w których wizjoner za pomocą trzymanego pewnego przedmiotu, przestępując próg świadomości, a jednocześnie z Wolą Duchą Jedynego zaczyna widzieć sceny, związane z daną rzeczą.

2) Dalej: zgadywanie cudzych myśli. Doświadczeń było już tak dużo, że nie podobna ich wszystkich spamiętać.

3) Nie mniej bogaty jest dział doświadczeń ze zgadywania, co, kiedy i przez kogo zostało napisane lub narysowane na papierze, schowanym choćby w 5 różnokolorowych kopertach! Wystarczy, że jasnovidz będzie ich dotykał, aby po krótkiej chwili, gdy pograży się w trans, otworzyć nierzastychanie wiernie to, co leży ukryte.

Z tego rodzaju eksperymentów szczególnie interesujący jest poczyniony z pismem Marszałka Piłsudskiego w obecności 7 osób, zaprotokółowany przez por. Świrskiego, adiutanta i naczelnego sekretarza Naczelnika Państwa w grudniu 1920 r. „Człowiek, dla którego nie ma tajemnic”, wzięwszy do ręki pismo Marszałka, zobaczył Wodza „pochylonego nad biurkiem piszącego listy”, „2-4-5-7”, a między nimi litery: „1, 1”. Obecny przy tym gen. Sosnkowski odniósł się do wyniku sceptycznie, gdyż, jak się okazało, Marszałek wówczas nadmieniał, że lubi poezję Krasńskiego, stąd generał przypuszczał, że list Marszałka będzie zawierał raczej poezję niż listy.

I tak dalej donosi protokół: „Skoro tylko p. Ossowiecki przeczytał treść listu, połączyłem się telefonicznie z Belwederem w obecności powyższych wymienionych osób. Naczelnik Państwa, który bardzo interesował się tym doświadczeniem, potwierdził oświadczenie, że treść karty została odczytana trafnie i że inż. Ossowiecki nie omylił się. Dopiero nazajutrz list został odczytany przez Naczelnika Państwa. Zarazem inż. Ossowiecki narysował plan apartamentu Naczelnika Państwa w Belwederze, gdzie nigdy nie był, opisał meble i rozkładał ich i dał opis stołu, z którego Marszałek Piłsudski wziął kartkę papieru listowego. Doświadczenie to odbyło się w mieszkaniu gen. Jacyny przy Al. Ujazdowskich nr 39”.

Poza opisanym doświadczeniem Ossowiecki robił i inne udane eksperymenty z Marszałkiem, jak nadawanie i odbieranie myśli o oznaczonej porze.

„ŚWIATOWID”, 8 maja 1937 r.

OGŁOSZENIA DROBNE

BĘDZIESZ miał życie długie, zdrowe, miłe, przyjemne. Poradzę Ci, jak postąpić w handlu, w pracy, w małżeństwie, miłości — dotykniesz stu i więcej lat, gdy posłuchasz moich rad. Nie zwlekaj do jutra! Przyjdź dziś, wymień swe bóle i troski — na radość, wesele. Doradca życiowy Marcell Lech, Puławska 109a 6.

WROŻKA wróży z kart, odsłania tajemnice życia ludzkiego. Pańska 93—68.

BEZPŁATNIE wskaże szczęśliwy numer losu do następnej Loterii Państwowej znakomity astrolog Szyller-Szkolnik. Warszawa, Żulińskiego 9. Podaj jedynie datę urodzenia.

WROŻKA znakomicie przepowiada przyszłość z kart, fotografii. Odgaduje najważniejsze tajemnice przyszłości. Przyjmuje 10-8. Godz. 68—32. 50 groszy.

„DOBRY WIECZÓR
— KURJER CZERWONY”
maj — czerwiec 1937 r.

„ŚWIAT”, 10 sierpnia 1936 r.

Jaka będzie przyszła Polska?

O co walczymy?

DEKLARACJA PROGRAMOWA
POLSKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ

WYDAWNICTWO KOMITETU CENTRALNEGO
POLSKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ
LISTOPAD 1943 R.

Śmierć hitleryzmu wróci do życia podbite i uciemiężone narody Europy. Zrodzi ona Polskę wolną i niepodległą.

Przyszła wolna i niepodległa Polska musi być narodową własnością najszerszych mas pracujących. Jej polityczno-społeczne podstawy muszą być oparte na fundamentach szerokich zasad ludowładztwa, czyli demokracji. Ster władzy państwowej w przyszłej Polsce przejść musi w

ręce przedstawicieli najszerszych warstw narodu, reprezentujących interesy robotników, chłopów i inteligencji. W przyszłej Polsce linia wewnętrznej i zagranicznej polityki musi być dostosowana do potrzeb i interesów całego narodu, musi wpadać w nurt tego nowego, postępowego prądu rozwojowego, który znajduje swój wyraz w dążeniach mas ludowych również i w innych krajach świata.

Przyszła Polska musi stanowić w gronie narodów świata czynnik pokoju, żyć w zgodzie i przyjaźni z sąsiadującymi z nią narodami.

Taką Polskę może powołać do życia tylko wysiłek najszerszych mas ludowych. Okres okupacji hitlerowskiej i narodowej niewoli dowiódł, że walkę na śmierć i życie o wolność i niepodległość Polski podjęły tylko te siły społeczne, które reprezentują Polskę przyszłości. W pierwszym rządzie robotnicy, chłopci i inteligencja pracująca. Tylko te siły zdolne są do wywalczenia niepodległości narodu polskiego i zbudowania przyszłej Polski na zdrowych, demokratycznych podstawach.

Sila i potęga Polski, dobrobyt i spokojne jutro jej obywateli osiągnięte być mogą drogą planowej odbudowy i rozbudowy

gospodarki narodowej, zmierzającej do zaspokajania materialnych i duchowych potrzeb szerokich rzesz ludu pracy. Dla tego celu po zwalczeniu pierwszych trudności związanych z okresem przejścia z okupacyjnej niewoli do niepodległości narodowej, należy przystąpić do opracowania wielkiego planu gospodarczego i jego realizacji.

Z deklaracji programowej Polskiej Partii Robotniczej listopad 1943 rok.

Sila teorii marksistowsko-leninowskiej polega na tym, że daje ona partii możliwość orientowania się w sytuacji, zrozumienia wewnętrznego związku zachodzących wydarzeń, przewidywania biegu wydarzeń i rozpoznawania nie tylko tego, jak i w jakim kierunku rozwijają się wydarzenia w teraźniejszości, lecz również tego, jak i w jakim kierunku muszą się one rozwijać w przyszłości.

J. STALIN

Nowa Warszawa otrzyma swój piękny wyraz



Rok 1949 jest wstępem do przebudowy Warszawy. Nowa Warszawa nie może być powtórzeniem dawnej, nie może być poprawionym jedynie powtórzeniem przedwojennego zbiorowiska prywatnych interesów kapitalistycznego społeczeństwa...

Warszawa stanie się poważnym ośrodkiem przemysłowym zwłaszcza w dziedzinie przemysłu metalowego, elektrotechnicznego i odzieżowego. Bezludnie rozrzucone przed wojną na terenie całego miasta zakłady przemysłowe zostaną obecnie planowo rozmieszczone na Woli, Żeraniu, Kamionku, Grochowie i Okęcu...

Równoległe z rozwojem przemysłu i wzrostem ludności przewiduje się budowę 120 tysięcy nowych izb mieszkalnych o ogólnej kubaturze około 12 milionów m. sześć. Nowe budownictwo mieszkaniowe będzie skoncentrowane w osiedlach społecznych, których lokalizacja związana jest ściśle z rozwijającym się przemysłem. Pod zabudowę zostaną wzięte w pierwszym rzędzie tereny już uzbrojone w urządzenia miejskie, przeznaczone na ten cel w ogólnym planie przebudowy Warszawy. W ten sposób ta wielka masa kubatury mieszkaniowej, przewyższająca wielokrotnie ilość mieszkań wybudowanych dla robotników warszawskich w ciągu całego okresu rządów burżuazyjnych, przyczyni się do realizacji podstawowych założeń urbanistycznych. Pod robotnicze osiedla mieszkaniowe zostaną oddane tereny, które dawniej były dobiegane jedynie dla zamożnej ludności Warszawy, mieszkania robotnicze wejdą do śródmieścia wzdłuż trasy W-Z i ulicy Marszałkowskiej...

Doświadczenia roku 1949 pozwoliła na podjęcie szerokiej akcji odbudowy historycznej dzielnicy Starego Miasta i dzielnicy Nowomiejskiej...

Nowa Warszawa, stolica państwa socjalistycznego, musi otrzymać swój piękny wyraz, znamionujący nową epokę prawdziwego humanizmu — epokę praw człowieka pracy.

Dlatego w Planie 6-letnim przewidziane jest rozpoczęcie na wielką skalę nowego ukształtowania śródmieścia...

Istniejące dotychczas śródmiejskie place, jak: Zwycięstwa, Teatralny, Małachowski — Dąbrowskiego, Warecki wraz z nowoprojektowanym placem Marszałkowskiej... utworzą jednolity zespół placów, połączony odpowiednio poszerzonymi arte-

riami, przystosowanymi do nowych zadań, którym ma służyć milionowa stolica państwa socjalistycznego.

Z przemówienia
Bolesława Bieruta
w lipcu 1949 roku

O LIKWIDACJĘ ANALFABETYZMU

Potrąfiliśmy objąć szkołami podstawowymi większy procent dzieci niż Polska przedwojenna w swym szczytowym punkcie rozwoju. Znieśliśmy niesprawiedliwą strukturę szkolną likwidując zasadę wielostopniowości szkolnictwa powszechnego i już w roku szkolnym 1945/46 posiadaliśmy mniejszą liczbę szkół o jednym nauczycielu, niż miała ich Polska sanacyjna, i stale konsekwentnie liczbę tę zmniejszamy, łącząc na to rokrocznie sumy coraz poważniejsze.

Rok 1949 przyniesie ostateczne zespolenie wszystkich ogniw naszej sieci szkół podstawowych, ogarnie ona bez reszty dzieci i młodzież w wieku szkolnym. Od tej strony analfabetyzm już nam nie grozi.

Prowadzona akcja biblioteczna rozwija się planowo z coraz większym nateżeniem, zabezpieczając nas przed analfabetyzmem powrotnym. I ten odcinek naszego życia kulturalnego, choć wielkich jeszcze wy-

maga z naszej strony wysiłków, nie może już budzić obaw.

...Społeczeństwu całemu zależeć musi na wydobyciu z kajdan ciemnoty wszystkich najwartościowszych, a bez własnej winy w te kajdany zakutych jednostek. Każdej jednostce zależeć musi na możliwie najszybszym wykorzystaniu tych wspaniałych możliwości awansu społecznego, jakie stawia przed nią socjalistyczna przebudowa kraju.

...Oto dlaczego przyszedł czas najwyższy, by resztkom ciemnoty i zacofania wydać generalną batalię, oto dlaczego Polska Ludowa, Polska mas pracujących nie może cierpieć dłużej najhańsliwszej spuścizny sanacyjnej — analfabetyzmu, dlaczego musi zniszczyć go tak dokładnie, jak zniszczyła panowanie obszarnictwa i wielkiego kapitalu.

Z artykułu H. Jabłońskiego w „Nowych Drogach“ nr 3, 1949 r.



...będzie już żyło pełnią życia całe nasze wybrzeże morskie od Świnoujścia do Elbląga.

Ludzie naszej partii i ludzie pracy w całym kraju odczuwają nieprzepartą potrzebę spojrzenia w przyszłość na dwa, trzy lata naprzód, aby poprzez troski, trudności dnia dzisiejszego ujrzeć zamgloną choćby, ale tym niemniej drogę do wielkiego wysiłku mobilizującą wizję przyszłości naszego kraju.

Dlatego trzeba, mimo wszystkie trudności i mimo wszystkie zastrzeżenia, spróbować spojrzeć naprzód, spróbować wyteńczyć myśl, aby w najbardziej ogólnych zarysach i ramach postarać się tę wizję zarysować.

Za trzy lata zmieni się zasadniczo energetyka Polski w rezultacie przeprowadzenia planu elektryfikacji. Produkcja energii elektrycznej wzrośnie dwukrotnie, z trzech i pół miliarda kilowatogodzin do siedmiu miliardów.

Zostaną zbudowane nowe, potężne wytwórnie, przede wszystkim na Śląsku, oparte na wyko-

zystaniu dotąd beзуżytecznie marnującego się mialu węglowego.

...Za trzy lata nasz przemysł metalowy powinien produkować rocznie: 5.000 obrabiarek, 320 parowozów, około 20 tys. wagonów towarowych oraz maszyn rolniczych za 60 milionów złotych wartości przedwojennej.

Za trzy lata w zakresie przemysłu metalowego powinny być uruchomione nowe i dotychczas niezane gałęzie produkcji.

...Za trzy lata powinien powstać w Polsce przemysł metali lekkich.

...Za trzy lata będzie już żyło pełnią życia całe nasze wybrzeże morskie od Świnoujścia do Elbląga.

Tak wygląda, może jeszcze ostatecznie nieskrystalizowana wizja niedalekiej przyszłości naszego kraju.

Z referatu ministra Hilarego Mince na I Zjeździe PPR, w grudniu 1945 roku.



Zdjęcie dziś już historyczne: na kursie dla analfabetów.



Fot.: W. Prażuch

BENZYNA

N A P I S A Ł:
JERZY JANICKI

2)

4. LEKARSKI MNISZEK

PRZY okazji spróbowano i innej metody: a już kauczek z węgla zawieźć. IG miał jeszcze pod ręką inny sposób. Oto, co jest godne zanotowania...

Przed wojną odbywała się w Moskwie wielka wystawa rolnicza. Zjechało się wielu fachowców. Przybyli specjaliści z całego świata. Przyjechali również specjaliści z hitlerowskich Niemiec. Ekspozycje wyrwały z ust zwiedzających okrzyki podziwu. Nagle — entuzjazm! Oto w szklanej szafeczce nasionka kok-sagyzu. To właśnie nowoodkryte i szeroko już w ZSRR eksploatowane roślinki kauczukodajne. Roślina przypominała dmuchawiec, ale jej sok krzepł na powietrzu jak sok drzewa kauczukowego. Oto najlepsze dowody: na przeciwległej ścianie stoją ustawione rzędem gotowe ekspozycje z kok-sagyzu — opona, piłka, rękawica chirurgiczna. Kok-sagyz! Ale wystawa jest bogata, trzeba ją obejść całą, zwiedzający idą więc dalej. Przy kok-sagyzie zostaje tylko jeden człowiek. Ten jeszcze nie może wyjść z podziwu. To hitlerowski „rolnik”. Jest tak wzruszony, że zanurza rękę w słoiku z nasionkami. Wsypuje całą garść do kieszeni. Wtedy pozbywa się wzruszenia. Maszeruje dalej.

Nasionka w zalakowanej paczce przysłano po kilku latach do obozu w Oświęcimiu. Obersturmbannführer Caesar czytał z przejęciem instrukcję: „...Należy w największej tajemnicy, używając do pracy jedynie więźniów K. L. Auschwitz, którzy nie mogą wyjść żywi z obozu, założyć masową plantację kok-sagyzu... Najwyższą nagrodą będzie dla Pana satysfakcja z dobrze spełnionego obowiązku wobec naszego Fuehrera i Rzeszy...”

Obersturmbannführer Caesar pragnie mieć tę satysfakcję. Znajduje niedaleko obozu folwarczek Rajsko. Pewnego dnia wywieziono z baraków wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z ogrodnictwem lub rolą. Z IG napływały listy z zapytaniami: „co z kok-sagyzem?” Najprzód pytano ciekawie, potem niecierpliwie, z natarczywością, wreszcie z groźbami. Obersturmbannführer Caesar trząsał się pejszem po cholewkach: „Kreuzdonnerwetter!” Ale roślina nie wychylała się z ziemi. Potem zakwitła. Polskie ogrodniczki pochylały się nad nią: „Też, tyle zachodu i ceregieli — zwykły dmuchawiec, mniszek lekarski”. Rośliny zebrano wkrótce i przewieziono do Bunu. Ale nie wyprodukowano z tego ani miligrama kauczuku: trudno — z dmuchawca kauczuku nie będzie. Caesarowi nie powiedziano nic; wstyd się jednak było przyznać, że przez tyle lat hołbili zwykłe zielsko jako tani-szański okaz. „Przyrodnik” z wystawy w Moskwie przywiózł nasionka lekarskiego mniszka. Czujność obowiązuje i na wystawie. Ten nie wywiązał się z obowiązku wobec Fuehrera i Rzeszy.

...Raptem któregoś dnia nie wypędzono więźniów z baraków. Nikt nie wrzasnął opętano „Buuuna!”

Zadne — „Kommando antreten!” Za to pod wieczór ziemia zatrzęsła się pod ich nogami. Powietrze przedarły niesamowite grzmoty wybuchów, niebo zarumieniło się od łuny. Bunawerke wyleciały w powietrze.

...Zbliżał się dzień oswobodzenia Oświęcimia.

5.

EMIL WCHODZI NA WIDOWNIE

Niewielki, chudy mężczyzna w obwisłym, poplamionym pasiaku zastukał obozowymi drewniakami po zwojach powyginanej blachy. Potykał się o stalowe rury. Te były popękane i wyglądały jak rozprute widelcem kiełbaski. Podnosił wysoko nogi przesadzając stosy zmiażdżonych aparatów i narzędzi. Potem przyszło jeszcze kilku podobnych ludzi w pasiakach. Odnaleźli niewielką stróżówkę. Przynieśli skądś żelazny piecyk, napalili w nim tak, że blacha nabrała koloru świeżej pomarańczy. Rozsiedli się na stołach i ławkach i zaczęli radzić. Tak wyglądała pierwsza dyrekcja fabryki chemicznej w Dworach.

Nie bardzo wierzyli, aby tu na miejscu można było cokolwiek odbudować. Na razie należało przynajmniej teren zabezpieczyć. Rozmýślali sobie: „Cóż, choćby i na złom do huty przyda się to żelastwo”. Nie znalazłoby się nawet jedno urządzenie jako tako całe i użyteczne.

Potem nadeszło pismo: Dwory będzie się budować na nowo. W pierwszym planie — wytwórnia syntyny. Wieść rozeszła się po okolicy: będzie fabryka! Nikt oczywiście nie wierzył, ale szli, bo pieniądze się przydawały.

Przybyło kilku nowych inżynierów. Inżynier Kaczorowski akurat uzyskał dyplom w Gliwicach. Nigdy się syntetyczną benzyną nie interesował, ale przyjechał. Przybył inżynier Szer. Ten w czasie wojny budował na Urału rurociągi naftowy. Zupelnie jak Beridze w „Daleko od Moskwy”. Podobny był do niego jedynie z wąsików. Ten też nie miał zielonego pojęcia o benzynie. Przyjechał inżynier Taban. Pracował razem z Szerem przy rurociągu. I on przybył wyciskać z węgla benzynę.

W Dworach mieszkał stary dróżnik. Nazywał się Wojciech Połączarz. Jego syn powrócił niedawno z Niemiec. Czy nie znalazłoby się dla syna zajęcie?

— Umie on co? — spytał ktoś z dyrekcji.

— Emil? — dróżnik zrobił urażoną minę — Pano- wie, jaki on książkowy, jaki książkowy! — zawołał z przejęciem.

— No cóż! Niech przyjdzie. Roboty znajdzie się i dla niego.

Emil Połączarz zjawił się następnego dnia. Miał jasne włosy, szerokie bary i ogromną ochotę do pracy. Dostał ją natychmiast: został referentem w dziale gospodarczym. Potem przeszedł do pracy w dziale finansowym. Zajął się rachunkami, wykazami, saldami.

Fabryka, której jeszcze nie było, nabierała życia...

Rozdział III PRZED BENZYNOWĄ PREMIERĄ

1.

ZAPACH WIEDZY

Emil Połączarz został więc finansowym. W tym wydziale liczby wówczas nie były zawrotne: łatwo je było dodawać. To był rok 1946.

Po olbrzymim terenie kombinatu jak po straszliwym pobojuwisku kręcili się inżynierowie. Tak po prawdziwym pobojuwisku krążył pilni sanitariusze: szukają rannych. Ci dadzą się wykurować i będą jeszcze tryskać zdrowiem.

Na pobojuwisku w Dworach do kuracji nie nadawało się nic. Nie trzeba było mieć za sobą fakultetów, aby gołym okiem stwierdzić, że to, co pozostało po niemieckiej fabryce — już nie ożyje. Nawet największe, wielopiętrowe kotły — i te były rozplątane na kawałki nie większe od drzwi. Kilometrowe rurociągi, kolektory, leżały na ziemi jak serdelki pocięte przez nierozumnego rzeźnika. Aparatura w ogóle nie istniała: nie było jej widać! Spróbujcie w moździerzu rozłupać zegarek — oto, co z niego zostanie.

A jednak w lutym roku 1946 zapadła decyzja: trzeba wybudować urządzenia fabryki i wynaleźć metodę produkcji syntyny.

Emil Połączarz dodawał swoje kolumny liczb i wypytywał o syntynę. Odpowiadano mu chętnie. Ho! ho! Syntyna to bogaty produkt!

— Benzyna, wiadomo! — domyślał się Emil.

— Nie tylko. To parafina na mydło, smary, oleje, aceton, wosk, pasta. Wszystkiego prawie niesposób zliczyć.

— Ciekawe. I to wszystko z węgla?

— Z węgla. Z wodoru.

Ale ostatecznego pytania Emil nie zadawał, nie otrzymałby odpowiedzi. „Jak się, mianowicie, do tego dochodzi?” Wiedział, że to olbrzymia zagadka, że tego w Dworach nie wie nikt.

Skąd ludzie mogliby wiedzieć? Przed wojną polski przemysł chemiczny miał wygląd ubożego krewnego. Taki był mizerny. Pewnie dlatego, że na obcy chleb. To nigdy nie sprzyja wyglądowi. 87,2% kapitału zagranicznego. 1,5% produkcji światowej.

Oto lista „polskiego przemysłu chemicznego”. Przykład — koksownie:

Gwarectwo Rybnickie — własność niemieckiej rodziny Friedländer-Fulsche powiązanej z Goldschmidt-Rotszyldami.

Gwarectwo Rudzkie — własność Ballestremów powiązanych z OS Eisenbahnbedarfs AG w Gliwicach. Skarboferm — w połowie własność Kuhlmannów.

O rozwoju własnej naukowej myśli nie było mowy.

O PRZEDMOWACH

PRZECZYTAŁEM niedawno jednym ciągiem kilkanaście przedmów do wydanych ostatnio powieści. Nie mamy tu, niestety, miejsca na poparcie mego sądu wystarczająco wymownymi cytataми — ale proszę mi wierzyć na słowo, że była to lektura bardzo, bardzo męcząca.

Zdawałoby się, że głównym zadaniem przedmowy w książce jest zachęcenie czytelnika do przeczytania tej książki. Za takim mniemaniem przemawiają świetne tradycje, jakie posiada przedmowa literacka w naszej literaturze. Żyjemy przecież w kraju, gdzie przedmowy do książek pisywał Tadeusz Boy-Żeleński. Kto pamięta przedmowy Boya do klasyków francuskich (nie rozumiem, dlaczego tych przepysanych esejów literackich dotychczas nie wznowiono) — ten wie, że każda z tych przedmów nie tylko zachęcała czytelnika, lecz wprost go zniewalała do przeczytania książki.

Niestety, po przeczytaniu kilkunastu ostatnich przedmów doszedłem do smutnego wniosku, że nasze wydawnictwa z tej zasadniczej funkcji przedmowy zrezygnowały. Przedmowy publikowane obecnie — w większości swej — nie zachęcają czytelnika do przeczytania książki.

Przedmowy te najczęściej bywają nudne, suche, przeciążone balastem frazeologii i erudycji. Niekiedy odnosi się wrażenie, że autor przedmowy — zapominając o czytelniku — stara się przede wszystkim usprawiedliwić przed jakimiś surowymi sędziami sam fakt wydania książki. Język przedmów jest trudny, akademicki, nie przystosowany do zdolności odbiorczych czytelnika. W przedmowie do pięknej, gorącej książki dla młodzieży, wznowionej niedawno przez jedno z naszych wydawnictw młodzieżowych, znalazłem taki ustęp:



Rys. A. Perzyk

„Mamy tu w genialnym perspektywicznym skrócie jakby odbicie różnicy emocjonalnego stosunku do rewolucji 1905 roku z jednej strony proletariatu, z drugiej — liberalnej inteligencji, dalekiej od rewolucji, jakkolwiek żywiącej pewną umiarkowaną dla niej sympatią w okresie jej narastania”.

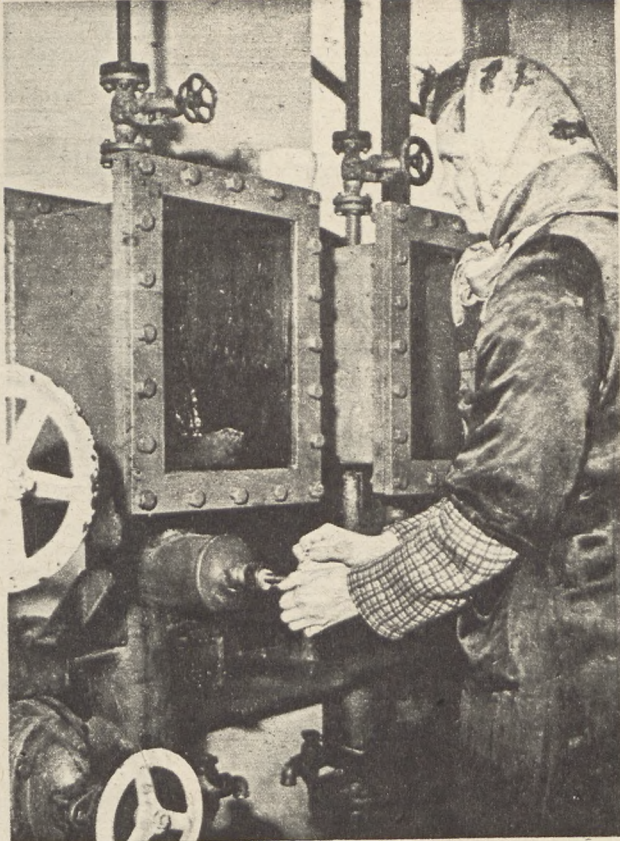
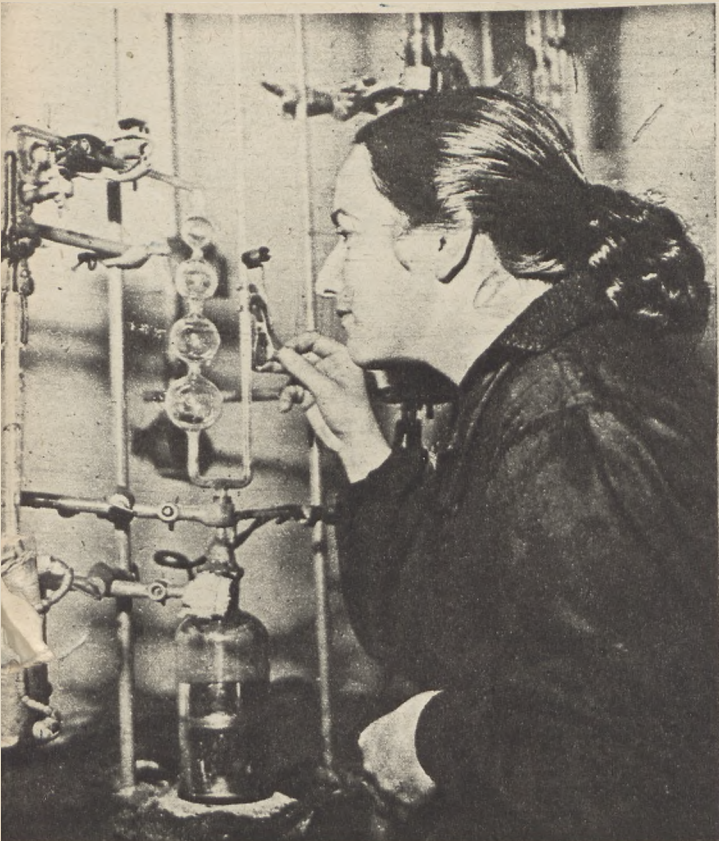
Ależ tak: wszystko to prawda. Tylko nie wierzę, że autor przedmowy rozmawiając oko w oko z czterdziestoletnim czytelnikiem książki ośmieliłby się zachęcić go do jej przeczytania w taki właśnie sposób.

Albo inny kwiatek: fragment przedmowy do niezwykle interesującej powieści angielskiego pisarza Jamesa Aldridge pt. „Dyplomata”.

„Powieść „Dyplomata” posiada pewne usterki: obok trzech postępowych przedstawicieli klasy średniej autor nie ukazał brytyjskich mas, na których opiera się ruch pokoju. Przeciwno Essexom i temu, co oni reprezentują, nie walczą jedynie MacGregorowie, Asquithowie i Katarzyny Clive. Przeciwno Essexom walczą cały obóz pokoju i postępu — dlatego silny, że należą doń miliony ludzi pracy”.

No, zgoda: autor nie ukazał. Więc co z tego? Autor nie ukazał jeszcze wielu innych elementów ważnych dla sprawy pokoju, jak na przykład: bohaterskich zmaganiań narodu wietnamskiego i przemysłowej rozbudowy Albanii. Hańba mu za to! Ale po co pisać o tym w przedmowie, przecież czytelnik polski nie spadł z księżycy i nie żąda, aby każda powieść była wyczerpującą encyklopedią wiedzy politycznej o świecie.

Nie, takie przedmowy nie zachęcają, lecz odpychają od książki. Jeżeli mają być pisane w ten sposób, to lepiej nie pisać ich wcale,



Obie te dziewczyny pracują przy produkcji syntetycznej benzyny. Różnica jest tylko taka: ta po lewej liczy swą benzynę w gramach, natomiast ta druga — w tonach. Z instytutu badawczego wyszła benzyna już w roku 1950

A tu, w Dworach, uparli się mimo wszystko robić benzynę z węgla. Ten dziwny upór imponował Emilowi. Miał 16 lat, kiedy go wywieźli na roboty do Niemiec. Pracował jako parobek, a w nocy podbierał „bauerowi” książki i czytał. Jakie popadły: „Jak nawozić ziemię saletzakiem”, „Zdobycie Mont Blanc”, „Hermann und Dorothea”... Za wiedzą tęsknił jak za powrotem do domu. A kiedy powrócił, zdał gładko jako ekstern maturę w Oświęcimiu. Dalej? Oczywiście droga stała wszędzie otworem. Wystarczyło pojechać do Krakowa i wybierać. Na co się miało ochotę, jak w domu towarowym: prawo, medycyna, filozofia. Kim chciał zostać Emil Połączarz, syn dróżnika Wojciecha w Dworach?

Otóż to, czego właśnie nie wiedział i postanowił rok przeczekać. Rok to dostateczny okres do namysłu. Ten właśnie rok postanowił przepracować jako księgowy. Dziś widać jak słusznie uczynił; gdyby się był wówczas zdecydował w Krakowie, może byłby z niego zręczny chirurg, ale nie mielibyśmy jednego z najlepszych benzynowych fachowców. Nie uprzedzajmy jednak wypadków...

Na razie jest księgowym i imponuje mu upór młodych inżynierów. Liczy i myśli: kim zostać? Może... może by tak do tej — benzyny...? Bo choć w Dworach jeszcze nie ma jej ani kropli, w zdenerwowaniu, w pilnym ślęczeniu nad próbkami czuje się jej obecność.

2.

REPARACJE I KOMPLIKACJE

Nagle radość! Niesłychana radość! Kiedy złodzieja się złapie, wiadomo, że musi oddać to, co nakradł. Stowem — Niemcy płacą reparacje. Polsce za zniszczenia wojenne — część urządzeń do produkcji benzyny z Schwarzhaidel. Do Schwarzhaidel deleguje się specjalną ekipę demontażową. Przy okazji mają się zepoznać z technologią produkcji. Wszystko układa się po-

myślnie. Jedzie ekipa, jedzie inżynier Blaut. Przy wyjeździe oczy jego błyszczą radością.

Wraca z kilkunastoma wagonami urządzeń. Pod pachą dźwiga spisane wiersz po wierszu metody produkcji. Inżynierowie wybiegają mu na spotkanie. Kiedy byli dziećmi, tak się oczywiście cieszyli na przyjsie Mikołaja z prezentami. Tu — kolega Blaut z wagonami i dokumentacją!

Ale Blaut ma minę niewyrażną. Oczy mu nie świecą blaskiem sprzed kilku miesięcy. Na litość boską, czy się coś stało?

Oto, co się wydarzyło.

Urządzenia są, to prawda. Dane o metodzie Fischer-Tropscha są — to również prawda. Ale to mała pociecha. Urządzenia z reparacji stanowiły 40 procent przyszłej fabryki. Część gazowa z Schwarzhaidel przeznaczona była na węgiel brunatny.

I ledwo o tym Blaut powiedział, już z ust słuchaczy wyrwało się przeciągłe, pełne rozczarowania „aaaaa!...” Już się domyślili. Śląsk — to przede wszystkim węgiel kamienny. Tylko na taki węgiel można liczyć przy długoplanowej produkcji. Na przeróbkę węgla kamiennego potrzebne są urządzenia.

Ale to jeszcze nie koniec udręki. Wystarczy tylko coś niecoś wiedzieć o chemii, aby znać wartość tzw. katalizatora. To on przyspiesza reakcję łączenia się produktów. Takim katalizatorem może być wiele substancji, na przykład — krzem. Szybkość reakcji zależna jest od powierzchni tej substancji. Jeżeli kruszyny ziemi kcrzemkowej są bardziej porowate, więcej mają otworów, tym więcej cząsteczek tlenu węgla i wodoru na nich osiadzie, tym szybciej przebiegnie reakcja.

Aparatura w Schwarzhaidel przystosowana była do katalizatora z ziemią okrzemkową. To było właśnie nieszczęście. Już drugie!

Balszy ciąg nastąpi

Więźniowie oświęcimscy witają swych wyzwolicieli — żołnierzy zwycięskiej Armii Radzieckiej.





TELEFONEM ZE STALINOGRÓDU

SWIAT — Halo, kopalnia „Gottwald”? Tu redakcja „Świata”...

KOPALNIA — Tak, tu „Gottwald”, referent współzawodnictwa pracy przy telefonie.

SWIAT — Słuchajcie, nasz rysownik przysłał nam rysunki kilku ludzi z Waszej kopalni. Chcemy o nich parę słów napisać.

KOPALNIA — Pytajcie!

SWIAT — Czesław Będkowski...

KOPALNIA — Młody górnik. Pierwszorządny chodnikowiec, w styczniu zrobił 178%. Ma Srebrny Krzyż Zasługi, Srebrną i Złotą Odznakę Przodownika Pracy.

SWIAT — A coś o Bolesławie Montikolo?

KOPALNIA — To nasz ślusarz — racjonalizator i wynalazca, jeden z najlepszych fachowców w warsztatach — też młodzieżowiec.

SWIAT — W czym pomógł Waszym sukcesom?

KOPALNIA — Pomaga bez przerwy — swoją pracą. A jego wynalazek — to hak do przekładania pancernego przenośnika zgrzeblowego. Wy pewnie i tak się na tym nie znacie, ale to naprawdę ważne usprawnienie... Jeszcze coś?

SWIAT — Jeszcze parę słów: o Janie Regulskim i Franciszku Chałupniku.

KOPALNIA — Regulski ma już troje wnucząt. A w pracy jeszcze służy za wzór nawet młodzieży. We współzawodnictwie długofalowym wyciąga 187% normy. Za swoją pracę ma Złoty Krzyż Zasługi, dwa Srebrne, jeden Brązowy, Złotą i Srebrną Odznakę Przodownika Pracy.

Chałupnik — wrębiarz ścianowy, młodzieżowy przodownik. Ma Odznakę Przodownika i Brązowy Krzyż Zasługi. To wszystko?

SWIAT — Prawie. Wasze sukcesy — np. wykonanie planu rocznego za 1953 już 7 listopada — zawdzięczacie...

KOPALNIA — ...no właśnie ludziom — takim jak ci, o których pytacie, i wielu, wielu innym, którzy tu z nami pracują.

SWIAT — A jak z planem za styczeń?

KOPALNIA — Wykonaliśmy na 3 dni przed terminem. To już wszystko?

SWIAT — Jeszcze słówko: powodzenia!

KOPALNIA — I Wam również. Dziękujemy.

GÓRNICY Z KOPALNI

GOTTWALD

Rysował: ZDZISŁAW LACHUR



Racjonalizator Ślusarz Bolesław Montikolo



Czesław Będkowski tuż po wyjeździe z szybu



Franciszek Chałupnik należy do przodujących w kopalni



L. Cec'ian

JAN REGULSKI Z ŻONĄ MARIĄ I ANDRZEJKIEM — JEDNYM Z TROJGA WNUCZĄT

pt. NOWI GOSPODARZE MAJĄ GŁOS

NAPŁYWAJĄ do naszej redakcji jedna za drugą odpowiedzi na ankietę „Świata”. Napływają z różnych stron Polski — i już sam ich zasięg jest świadectwem, jak wiele buduje się w Polsce nowych osiedli. Przychodzą listy z wielkich miast i z małych miasteczek, wreszcie z miejscowości, które nie były nawet miasteczkami, dopóki tam nie wkroczyło nasze budownictwo.

Dużo w tych listach uwag krytycznych — najbardziej typowe z nich, domagające się najszybszej interwencji, będziemy drukować. Radzimy czytać sprawozdania z naszej ankiety i pracownikom Rad Narodowych, i kierownikom przedsiębiorstw budowlanych, i projektantom nowych osiedli — znajdują w nich wiele materiału dla swojej pracy, wiele cennych sygnałów i spostrzeżeń. Będziemy zresztą — korzystając z przyjętych u nas zwyczajów i praw, domagać się odpowiedzi na głosy krytyki.

Dużo więc jest uwag krytycznych, ale jakże przy tym charakterystyczne dla wszystkich, bez wyjątku wszystkich listów jest porównanie: „wczoraj a dziś”. Nowi gospodarze naszych miast widzą błędy i braki naszego budownictwa czy też gospodarki nowymi osiedlami, ale irytując się nawet na te braki i niechlujstwa, domagając się ich najszybszej likwidacji, nikt nie zapomina o olbrzymich osiągnięciach naszego budownictwa miejskiego, o tym, w jakim tempie przeobrażają się nasze miasta i ile setek tysięcy ludzi z roku na rok poprawia swoją sytuację mieszkaniową. Każdy z autorów listu — chociaż nie było to warunkiem ankiety — uważa za konieczne i niezbędne przypomnieć, na przykładzie własnego życia, w jakich warunkach żył dawniej, jak straszną zmorą była kwestia mieszkaniowa w Polsce burżuazyjnej, jakim przełomem w jego życiu było otrzymanie nowego

mieszkania od państwa ludowego, najczęściej „pierwszego ludzkiego mieszkania” w długim i pracowitym życiu.

MIESZKAŁO SIĘ „KĄTEM”

„Czy da się opisać radość z otrzymania własnego, niezależnego, pięknego mieszkania, gdy przedtem mieszkało się „kątem” w ciemnej, starej krakowskiej kamienicy bez żadnych wygod... porównanie tych dwóch mieszkań, to porównanie dwóch ustrojów, tamtego, w którym praca właśnie miała napędzić tylko pieniądze do kieszeni wyzyskiwaczy — i naszego, w którym człowiek jest sprawą najważniejszą i pod kątem jego potrzeb opracowuje się państwowe plany gospodarcze” — pisze ob. Jerzy Sochacki, mechanik zatrudniony przy budowie Nowej Huty, a zamieszkały na nowym krakowskim osiedlu Grzegórzki — ul. Siedleckiego 11 m. 10.

W szczyrim i obszernym liście ob. Karol Jankowski — od niedawna mieszkalec Starego Miasta w Warszawie — wspomina, jak tylko pamięć jego sięga, kolejne „mieszkania” swoje i rodziny. Ciągnie się długi szereg przeprowadzek z jednej nory do drugiej i jak tragiczny refren powtarza się wciąż: „...ale i tam było zimno...”, „i znów w zimnej izbie”. Gdy wreszcie wydaje się, że zdobył jakie takie mieszkanie — jako sublokator — właścicielka je sprzedaje, on sam musi się wyprowadzić. W tym samym czasie traci pracę. „Nie stać mnie było na „odstępne” w starym domu lub na wysokie komorne w nowym — zmuszony byłem wyprowadzić się do Zalesia Dolnego. Tam mieszkałem kolejno w pięciu domkach „letniakach”, gdzie temperatura w zimie spadała do 3 stopni, a przy większych mrozach i poniżej zera...” W tych to „letniakach” — ogrodowych budach choruje on sam, żona, mała synowie.

Przez 28 lat pracował ob. Jankowski w prywatnym przedsiębiorstwie budowlanym — w znanej, doskonale prosperującej firmie. Na najskromniejsze, ludzkie mieszkanie nie zarobił. „Po 4 latach pracy w instytucji państwowej (ob. Jankowski jest starszym inspektorem

D BOR-Wschód) zostałem nagrodzony za pracę Srebrnym Krzyżem Zasługi i otrzymałem mieszkanie. I to jakie mieszkanie! 3 pokoiki z kuchenką, posadzki, centralne ogrzewanie, łazienka — moźecie sobie wyobrazić nasze szczęście i zadowolenie. Po 53 latach życia — nareszcie mieszkanie. Moja żona nieraz mówiła: „Czy ja kiedykolwiek będę mieszkać jak człowiek?” Aż tu spełniło się marzenie”.

I wreszcie, obok szczegółowego opisu mieszkania, jakby największy komentarz — wykrzyknik: „A gdzie mieszkamy? RYNEK STAREGO MIASTA 10. Okna na rynek”.

„NAJWAŻNIEJSZA IZBA”

Przechodzimy teraz do ścisłych punktów ankiety. Rzecz charakterystyczna: w odpowiedziach na punkt I — „Rozplanowanie mego mieszkania” wszyscy uczestnicy ankiety najwięcej miejsca i uwagi poświęcają kuchni, uważając ją niemal jedyną za „najważniejszą izbę”. Już ten fakt wystarczy, by projektanci naszych osiedli i mieszkań poświęcili zaplanowaniu w budowie kuchni więcej troski. Gospodyni domowa — ob. A. B. D. (nazwisko znane redakcji), mieszkanka osiedla ZOR w Świdniku koło Lublina, uważa kuchnię za „serce domu” i stwierdza, że to serce jest stanowczo za małe. „Dowcipnie” umieszczony kaloryfer — na środku jedynej wolnej ściany — uniemożliwiał ustawienie kuchennych mebli, trzeba go było przekuć (!) na inną ścianę. Kuchnia mogłaby być powiększona kosztem przedpokoju, który jest tak obszerny, że „można by po nim na rowerze jeździć”. Wreszcie kateryczne i energiczne zawołanie: „Kuchni nie wolno lokalizować od południowej strony. Gdyby który z panów architektów choć raz jeden w życiu gotował obiad latem w takiej kuchni, to z całą pewnością do końca życia przestrzegłby tej zasady”.

Wydaje się nam, że wystarczyłoby, gdyby żona projektującego architekta musiała popracować w takiej kuchni. Już na pewno przypominałaby stanowczo mężowi (żony wiedzą, jak to robić), że chociaż by nawet uważał kobietę za ciepłarniany kwiat, to nie należy tej sentencji traktować zbyt dosłownie i zamieniać kuchni w oranżerię tropikalnych roślin. Na kuchnię z południowej strony budynku skarży się wiele osób!

Szczegółowo analizuje rozplanowanie kuchni mieszkalec warszawskiego osiedla Grochów II, blok nr 6. Wytyka on umieszczenie kaloryfera pod sufitem (ciepłe powietrze gro-

madzi się pod sufitem, gdzie rzadko kto chodzi), zwraca uwagę, że kontakt elektryczny powinien być umieszczony po prawej — nie po lewej stronie szafki podokiennej, której przykrycie (blat) służy za miejsce do prasowania. Autor listu załączył nawet szczegółowy planik, wskazujący, że można było przy odrobinie staranności lepiej zaplanować kuchnię w tym samym mieszkaniu.

Odpowiedzi na punkt drugi przynoszą rejestr powszechnie — wciąż jeszcze zbyt powszechnie — znanych usterek i braków naszego budownictwa. Przede wszystkim nieszczelne, niedomykające się okna i drzwi. Zamki nie do użytku, słabo działające centralne ogrzewanie, niedbałe krycie dachów powodujące zacieki. Uwaga — sygnalizujemy brakorobom i komu należy: w kilku blokach na krakowskich Grzegórkach zaciekają rynny i niszczą się ściany. Na Starym Mieście w Warszawie po stronie Barssa nr 10 przecieka dach — kilkakrotnie obiecano naprawić i na tym się skończyło. Ze spraw poważniejszych: mieszkańcom osiedla ZOR w Świdniku zatrudnia życie kotłownia, która — cytujemy wg otrzymanego listu: „dnem i nocą wypływa z siebie tony sadzy. Sadza uczernia nowowbudowane bloki i wciska się drzwiami i oknami do wszystkich mieszkań”. Budzimy administrację w Świdniku z zimowego snu — czy naprawdę tak trudno zabezpieczyć komin kotłowni?

Na osiedlu Grochów II — inny fenomen. Dom zamieszkały od dwóch lat nie otrzymał dotychczas liczników elektrycznych, lokatorzy korzystają z linii elektrycznej na budowie. Kto za to płaci? Czy budowa ma za dużo pieniędzy, czy może elektrownia, skoro przez dwa lata nie zatroszczyła się o założenie liczników?

W tym samym bloku mieszkańcy wyższych pięter mają wodę tylko w nocy między godziną 22 a 6 rano. Wreszcie lokatorzy domu przy ul. Grochowskiej 230-a — jako dobrzy gospodarze — sygnalizują, że na sąsiedniej budowie (od ulicy Wiatracznej) trwa bez troski marnotrawstwo materiału: niechlujny transport, wyładunek „na hurra” i złe składowanie niszczą wielkie ilości cegły.

WYGODNE, ALE I PIĘKNE

Bardzo charakterystyczne są odpowiedzi na punkt trzeci ankiety. O architekturze, o „szacie zewnętrznej swoich domów” piszą mieszkańcy bardzo mało. „Bloki osiedla Grzegórzki są bardzo monotonne, wszystkie prawie na jedno kopyto — architektura jednostajna, uboga” — pisze ob. Sochacki. „Architektura bloków monotonna...” — pisze mieszkanka Świdnika. „Jeśli chodzi o architekturę, to wydaje się, że w tym kierunku nie czyniono specjalnych wysiłków” — pisze ob. Jan Kantor z osiedla Stalinogród - Ligota. W wielu odpowiedziach autorzy stwierdzają, że trudno jest mówić o architekturze osiedla, bo większość bloków jest niewykończona zewnątrz, nieotynkowana.

Z tych krótkich, zgodnych stwierdzeń wypływa kilka wniosków. Przede wszystkim ten, że wykończanie elewacji, tynkowanie bloków jest wszędzie poważnie opóźnione. Istotnie, w pierwszym okresie cały nacisk położony był na jak najszybsze oddanie do użytku największej ilości mieszkań. Tynkowanie, pochłaniające dużo czasu i pracy — odkładaliśmy na później. Widzimy jednak wyraźnie, że ten brak odbija się ujemnie na wyglądzie osiedla, że jeżeli nasze osiedla mają być miłe dla oka, przyjemne dla mieszkańców, jeżeli mają nabrać pełnego wyrazu — musimy szybko ruszyć z tynkowaniem. Nawiasem dodajmy, że w nieotynkowanych blokach w zimie są duże straty ciepła. Władze gospodarcze i budowlane zapowiadają, że w najbliższym czasie zabie-

NOWE OSIEDLE GRZEGÓRZKI W KRAKOWIE

Fot. K. Jarochoński



ramy się do tynkowania bloków i wykończania elewacji. W szerokim zakresie przewiduje tę akcję m. in. powzięta na jesieni uchwała o „2-letnim planie uporządkowania Warszawy“, na której wzorować się mają wkrótce i inne miasta.

Drugi wniosek: więcej troski i więcej inicjatywy twórczej w opracowaniu architektury nowych osiedli. Nowi gospodarze naszych miast chcą mieszkać w domach nie tylko wygodnych, ale i pięknych. Mają do tego prawo. Dodać tylko musimy, że większość zbudowanych do dzisiaj osiedli projektowana była przez architektów we wczesnych latach powojennych, kiedy to kryteria nowej, socjalistycznej architektury nie były jeszcze skryształizowane, a wśród samych architektów silne jeszcze były wpływy przedwojennej, bezideowej, kosmopolitycznej architektury, w myśl której budownictwo mieszkaniowe „nie jest godne“ bogatszej, wdzięczniejszej szaty architektonicznej, że wystarczą „pudełka do mieszkania“. Dzisiaj takie opaczne poglądy należą do przeszłości i przy projektach nowych osiedli wiele uwagi poświęca się ocenie architektury każdego bloku.

Zauważyli to zresztą niektórzy uczestnicy ankiety. I tak np. jeden z nich pisze: „Patrzac przez przeszło dwa lata na budowę mojego osiedla zauważyłem, że każdy nowy blok mieszkalny jest ładniejszy od poprzedniego, lepiej wyposażony i mniej w nim braków...“

Czwarty punkt — sprawy urbanistyki — przyniósł obszernie odpowiedzi. Ale i tutaj znów pewne sprawy powracają z niepokojącą regularnością. Szereg listów zgodnie sygnalizuje niefortunny, nie przemyślane umieszczenie śmietników i miejsc do trzepania, inne — z kilku różnych osiedli — poruszają sprawę piaskownic i miejsc do zabawy dla dzieci. Zieleńce, owszem — bardzo piękne, ale zieleńce są po to, żeby osiedla były zdrowsze i piękniejsze, ale nie po to, żeby dzieciom zatruwać życie: „Nie wchodzi, Jasiu, na trawnik“. A tak będzie, dopóki dzieci nie będą miały swych kłobków i piaskownic do zabawy. Te drobne pozornie sprawy: śmietniki, trzepak, pomieszczenia na wózki dla dzieci, podjazdy (żeby nie trzeba było dźwigać z daleka mebli czy węgla) — są w istocie bardzo ważne. Złe ich rozwiązanie może bowiem zatruć powszedni dzień. Wydaje się, że powinny one być zaliczone do „abecadła urbanistycznego“ i przy ocenie nowych projektów należy je dokładnie badać. Trochę wyobraźni i dobrej woli („Jak by to było, gdybym ja tam zamieszkał?“) — wystarczy.

No i wreszcie powszechna bolączka, o której pisaliśmy zresztą we wstępie do ankiety: trudność orientowania się w osiedlu. Wynika to w pewnym stopniu z nie dość przejrzystej kompozycji urbanistycznej osiedla, ale także z wyjątkowego nieraz niedbaństwa władz terenowych. Przez wiele miesięcy — a nieraz i lat — zachowana zostaje podwójna numeracja: „budowlana“ i uliczna, a przy tym Rady Narodowe nie kwapią się z nadawaniem nazw nowym ulicom. W rezultacie mówimy znajomym: „mieszkam w bloku 7c, ale od Zielonej to jest numer 9/15. Żebyś nie pomieszał z Zieloną 7, bo to jest przecież blok 17d“. Albo: „Jak wejdiesz od Karłowicza, to mój blok będzie na północno wschodnim skraju dzielnicy, taki siny pod zaciekającą rynną“.

Czekamy na dalsze odpowiedzi. Przypominamy, że termin ankiety upływa dnia 1 kwietnia br. Przypominamy, że każda z Waszych odpowiedzi może pomóc w usunięciu istniejących braków, na pewno pomoże w planowaniu i projektowaniu nowych osiedli. Przypominamy wreszcie, że na autorów najlepszych odpowiedzi czekają cenne nagrody, jak: aparat radiowy „Mazur“, obraz (współczesna grafika), narzuta na tapczan, komplet do kawy na 6 osób, lampka dekoracyjna, albumy z dziedziny sztuki oraz książki. O przyznaniu nagród w naszej ankiecie nie będzie rozstrzygało losowanie, przysługują je redakcja tym Czytelnikom, których odpowiedzi uznane zostaną za najlepsze, najciekawsze, najbardziej gospodarskie, najgłębiej umotywowane. Warto więc trochę się potrudzić, a może już za kilka tygodni przeczytasz w „Świecie“, że otrzymałeś piękny odbiornik radiowy, obraz, album lub książkę.

„ŚWIAT“



W ciągu niewielu lat rozwinęły się wspaniałe metody badań biochemicznych. Na zdjęciu dwa nowoczesne aparaty. Jeden z nich służy do szybkiego i dokładnego oznaczania potasu, sodu i wapnia. Pierwiastki te są składnikami żywych ustrojów.

Dialogi o biochemii (3)

NIE MA RZECZY NIEPOZNAWALNYCH

ADAM HOLLANEK

Fot.: K. JAROCHOWSKI

ZNACIE z pewnością te mocne słowa Stalina: „Nie ma na świecie rzeczy niepoznawalnych, są tylko rzeczy jeszcze nie poznane...“ Takim zjawiskiem dotychczas bardzo mało poznany jest — życie. Wiemy, a pierwszy wypowiedział to jasno nasz wielki rodak — Jędrzej Śniadecki, że objawy życia łączą się nierozdzielnie z nieustanną przemianą materii. A przemiana materii — to przecież, inaczej mówiąc, reakcje chemiczne. Biochemia jest nauką, która bada te reakcje. Biochemia jest nauką, która bada te reakcje. Biochemia jest nauką, która bada te reakcje.

— Cóż jednak utrudnia pochod biochemii? — spytałem zaraz.

— Biochemia jest nauką młodą — odparł mój rozmówca, mgr Szczepkowski, znany już Czytelnikom z poprzedniej wizyty w Zakładzie Chemii Fizjologicznej. Rozwój jej uzależniony jest od rozwoju nowych, coraz subtelniejszych metod badawczych.

Przeszedłszy przez piękne sale laboratoryjne na drugi koniec Zakładu. Staneliśmy przed jednym ze szklanych bloków.

— Troska o życie ludzkie — mówi pracujący tu dr Ostrowski — była głównym bodźcem badań biochemicznych. Nic dziwnego, że w ciągu niewielu lat rozwinęły się wspaniałe metody jej badań. Proszę się przyjrzeć choćby temu urządzeniu... W kamerze ze szkła znajduje się specjalny roztwór, w którego obecności cząsteczki białka przyjmują ładunek elektryczny. W zależności od rodzaju białka ładunek ten jest większy lub mniejszy. Pod wpływem prądu elektrycznego rozpoczyna się w roztworze wędrówka naładowanych cząsteczek białka do biegunów prądu o znakach przeciwnych.

Przyjrzałem się dobrze działaniu szklanego laboratorium, którego pracownikami są... ładunki elektryczne. Gdy na pasek bibuły, rozpięty w kamerze ze szkła i przesycony roztworem, kapniemy kroplę surowicy krwi — poszczególne białka, wchodzące w skład surowicy, przyjmą określone ładunki elektryczne. Biegunki prądu zmuszą te naładowane cząsteczki białek do wędrówek. Jedne więc białka, w zależności od wielkości przyjętego ładunku, przesuną się na „moście“ z bibuły bliżej — inne dalej. W ten sposób powstana prążki: skupiska różnych rodzajów białek na bibule.

Wyjęty pasek bibuły zostaje teraz umieszczony w drugim aparacie, gdzie, dzięki działaniu komórki fotoelektrycznej, następuje narysowanie wykresu, ilustrującego stosunek ilościowy poszczególnych rodzajów białek. U normalnego człowieka stosunek poszczególnych białek jest stały.

— U chorego natomiast — powiada dr Ostrowski — stosunek białek jest inny niż u zdrowego. Wobec tego rysunek ulegnie zmianie. W ten sposób aparat, w którym wykorzystana została wiedza o elektryczności, stał się pomocniczą metodą w dziedzinie wykrywania różnorodnych schorzeń.

— Jakich?

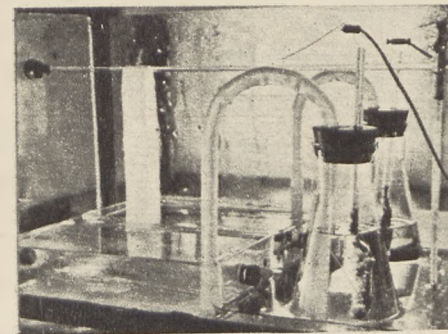
— Gdy zbadaemy kroplę krwi ludzkiej, możemy na podstawie proporcji jej

białek wnioskować w pewnych szczególnych wypadkach o istnieniu choroby, umiejscowionej w skórze, w nerwach, w wątrobie, oraz o niektórych rodzajach raka. Metoda elektroforezy bibulowej, to jedyny sposób wykrywania złośliwego nowotworu szpiku kostnego, tzw. szpiczaka mnogiego.

— A czy ma to duże znaczenie praktyczne?

— Naturalnie. Świadczy o tym chociażby fakt, że dla wielu klinik dokonywaliśmy oznaczeń metodą elektroforezy: na tej bowiem podstawie można rozpoznać chorobę i zastosować leczenie. Potem zaś, badając obraz białek podczas leczenia, stwierdzamy, czy choroba ustępuje, czy też należy leczenie zmienić. Trzeba tu również dodać, iż niektóre kliniki zbudowały już aparaty na wzór naszej i same się nią posługują. Biochemia, jak widać, w różnorodny sposób i na różnych polach wydała walkę chorobie. Kolega Bicz da wam tego jeszcze jeden przykład.

Dr Bicz wskazał mi stół zastawiony małymi naczyniami, napełnionymi skrawkami skóry ludzkiej. Widząc mój zdziwiony i trochę może przerażony wzrok dr Bicz powiedział prędko:



Aparat do elektroforezy bibulowej



Z prążków widocznych na pasku można odczytać skład białek surowicy krwi i wnioskować o chorobie.

— Z tą skórą jest tak: dotychczas nauka pobiła tylko zajmowała się procesami przemiany gazowej, zachodzącymi w wierzchniej warstwie naszego ciała. Skóra składa się zasadniczo z trzech warstw — naskórka, skóry właściwej i tkanki podskórnej. Badania nad przemianami biochemicznymi skóry są bardzo trudne i żmudne. Traktowanie jej więc po macoszemu. A przecież tkanka skórna spełnia niezwykle ważną rolę w organizmie i posiada właściwą sobie przemianę materii, poznanie której jest dla medycyny niezbędne.

Z wymienionych trzech warstw skóry na specjalną uwagę zasługuje naskórek. Warstwa ta ulega szybkiej odnowie, a budujące się komórki w porównaniu z komórkami innych warstw skóry cechują się żywszą przemianą materii. Nasze dotychczasowe prace potwierdzają tę szczególną rolę naskórka.

— A w jaki sposób badacie przemianę gazową w naskórku? Czy i w tej dziedzinie pomaga wam nowoczesna technika, podobnie jak pomaga ona w badaniach nad kroplą krwi?

— Technika znana jest od dawna, ale wciąż jeszcze pozwala na prowadzenie nowych badań. Ten rząd błyszczących naczyń — to aparat Warburga. Wykorzystujemy w nim znane zjawisko. Mianowicie, skóra jeszcze przez kilka do kilkunastu godzin po wyrojeniu z całego organizmu przejawia oznaki życia — zachodzą w niej zjawiska przemiany gazowej. Do naczyń, dającego się szczelnie połączyć z manometrem, wkładamy skrawki takiej żywej skóry. Skrawki skóry pobierają tlen zawarty w naczyniu. Pociąga to za sobą zmiany ciśnienia, które wskazuje nam manometr. Z ilości zużytego przez skórę tlenu poznajemy żywość przemiany gazowej naskórka. Pierwszym etapem naszych prac było określenie poziomu przemiany gazowej dla normalnej skóry. Drugi etap polega na zbadaniu przemiany gazowej w zmienionej chorobowo skórze.

— Rozumiem, pragniecie doprowadzić do tego, aby kiedyś lekarze, znając procesy zachodzące w skórze, mogli stosować odpowiednie leczenie występujących w niej zaburzeń!...

Gdy wychodziłem z Zakładu, pojąłem jednak, że to, co powiedziałem przed chwilą, stanowi zaledwie fragment celu, który musieli sobie postawić biochemicy Zakładu. Przecież badania nad skórą prowadzą — być może — do nowej metody leczenia nie tylko chorób skóry, ale również oparzeń i porażenia. Dr Bicz wypróbował mianowicie, jak długo można utrzymywać przy życiu skórę, oddzieloną nożem od reszty ciała. Czyż nie jest to początek drogi, prowadzącej do metody konserwowania płatów skóry dla przeszczepów operacyjnych?

Biochemia, to nauka szeroka i pasjonująca swymi ogromnymi możliwościami. Jej będziemy prawdopodobnie zawdzięczać w przyszłości przedłużenie młodości i życia ludzkiego. Ona pozwoli na coraz to większe sukcesy, w walce z chorobami trapiącymi ludzkość.

KONIEC

W S Ł U Ź B

MIROŚLAW AZĘBSKI

NA SKRAJU Puszczy Kampinoskiej przy-
śladło kilka domków, smaganych wiatrem
i śnieżycą. Tutaj właśnie, do osady Julinek,
zjechał cyrk na zimowe leże. Jest to —
jeśli tak można rzec — cyrk w cywilu: głę-
boko w kufrach spoczywają barwne, atla-
sowe kostiumy, nie ma podniecających
światel areny, nie ma charakterystycznej
jazgotliwej orkiestry.

W wytartych dresach, w welwetowych marynarkach
typu MHD przystąpili artyści do pracy. Całymi dniami
recytują teksty, miotają kule i maczugi, wywijają salta,
kołyszą się na giętym maszcie, a w wolnych chwilach
noszą zupę na obiad, karmią kury i dyskutują o rze-
czach przeróżnych — od dyscypliny pracy począwszy, na
trickach iluzjonistów skończywszy.

Wnętrza tych domków i baraków są raczej szare,
wypełnione podartymi materacami, żelastwem, które jak-
ieś tam przeznaczenie posiada w akrobatycznych
praktykach, dekoracjami o barwach niegdyś jaskra-
wych, a dzisiaj wypłowiałych i smutnych. Tylko ludzie
wydają się zadowoleni.

— Tak — powiadamy — wesoło tu nie jest...

— Niby dlaczego?

— Ano, pałaców nie macie...

Jeden dzień z nimi spędzony wyjaśnił wszystko.

KREW NA ARENIE

Sala, gdzie odbywają próby artyści „słowni“, a więc
komicy i konferansjerzy, pomieścić może ledwie kilka-
naście osób. Przed reżyserem Szpakowiczem gnę się
w pokracznym, istic cyrkowym pokłonie Adolf Wro-
nowski.

— Blondyni i bruneci — skrzeczy — przybywajcie
na nasze przedstawienie...

Jest to słynny komik, tak jak niegdyś był słynnym
akrobatą. Czasy śmiania na trapezach skończyły się,
kiedy ładowane na wóz rekwizyty cyrku „Barnum“
zmiażdżyły mu palec. Nieszczęście? Tak. Ale do tego
można było w przedwojennym cyrku przywyknąć. On
sam był świadkiem sześciu wypadków. Przyczyny? Le-
żały w samym założeniu przedstawień: groza, niebez-
pieczeństwo były magnesem dla publiczności, podwa-
jały dochody właścicieli. Kto zgłaszał bardziej karko-
łomny numer — ten był lepszy, inni odpadali w kon-
kurencji. Żądano emocji, gry nerwów, żadnych siatek,
żadnych zabezpieczeń...

— A w razie wypadku i utraty zdolności do pracy?
Różnie to bywało i jedno tylko było pewne: właściciel
cyrku nie wypłacał ani grosza. W cyrku hamburskim
popisywał się w latach trzydziestych szaleńczy akro-
bata Gadbin Brons; z wysokości 18 metrów (sześć pię-
ter!) skakał na ześlizg w kształcie rynny. Raz o centy-
metry źle obliczył odległość i wyrznął o brzeg swojego
koryta. Piękny, posagowy Gadbin Brons w jednej chwi-
li stał się kaleką na całe życie — zmasakrowanej nogi

nie dało się już uratować. Z czego później żył? Artysty,
a głównie ludzie z cyrkowej galerii, której był ulu-
bińcem, zebrali pokaźny fundusz, bo właściciel cyrku
odmówił odszkodowania. Gadbin Brons utrzymywał się
z tej jałmużny.

— Wczoraj, proszę sobie wyobrazić, przyjechał do
Julinka niejaki Śmiechowski i zgłosił numer: salto na
miotocyklu. Odrzucono. Nie robi się u nas takich histo-
rii. Nawet jeśli coś w cyrku wygląda groźnie, w rze-
czywistości jest zupełnie bezpiecznym wyczynem i po-
lega na jakiejś sztuczce. Ale tajemnic „służbowych“
zdradzać nie będę. Słowem...

Słowem, w Julinku nikt nie będzie żył z jałmużny
jak Gadbin Brons, niegdyś skoczek nieustraszony...

ZADANIA NOWOCZESNEJ „TINY“

U stropu hali kołysze się metalowy maszt. Jolanta
Grajewska zręcznym ruchem wkłada stopę w pętlę
i zawieszona głową w dół podaje dłonie Leszkowi Wy-
szynskiemu. Będą robić trick „repe w reče, tylko bez
abfalu...“ Nie naszą jest rzeczą rozstrzygać o dosko-
nałości ich ćwiczeń — są tam subtelności znane tylko
instruktorowi Gedroycicwi, niedostrzegalne dla nas,
zwykłych śmiertelników. Młoda gimnastyczna para
ukończyła niedawno trzyletnie Studium Sztuki Cyrko-
wej, mieszczące się w tymże Julinku.

Obserwuje ich spod oka Ludwik Brandysiewicz, kie-
rownik ośrodka „artystów słownych“. Ten pan z brzusz-
kiem zadziwiał przed laty publiczność jako rowerzysta
wirujący po ścianach „kosza śmierci“, szklanego cy-
lindra bez dna, wciągane na linach pod kopułę.

— Dziwię się czasem tym młodym. Nie tym akurat
na trapezie. Ale są tacy, co zapisują się na Studium
i jakoś mało wkładają ducha w robotę. Gimnastycy —
tak. Oni potrafią ze sobą współzawodniczyć, ambicja
(żeby nie być gorszym od kolegi) odgrywa dużą rolę.
Ale w numerach solowych... czasem przykro myśleć:
takie mają warunki...

Cyrkowe wychowanie odebrał Brandysiewicz w in-
nych warunkach. Jak wielu młodych, rozpoczął pracę
u mistrza, który, skoro już raz podjął się edukacji, nie
żałował ręki. „Adept“ ówczesny nie mógł się nawet
poskarżyć listownie rodzicom: mistrz nie płacił ani gro-
sza, a pieniądze na znaczek pocztowy dawał tylko pod
tym warunkiem, że przejrzy i zaakceptuje korespon-
dencję. Młody człowiek, często wygłodniały i sponie-
wierany, włączył się ze swoim patronem po świecie,
podróżując, zresztą wespół ze starszymi, w bydlęcym
wagonie, wciśnięty pomiędzy dekoracje i rekwizyty,
jako że taki transport personelu był znacznie tańszy.

Śpiewało się kiedyś piosenkę:

„Tino, Tino, biedna cyrkówka,

Umęczona wędrowną

Wśród miasteczek i wsi...“

Sentymentalne to było, ale prawdziwe. Dzisiaj nasze
„Tiny“ mieszkają w julinkowskim internacie, mają
bezpłatne wyżywienie i kilkaset złotych stypendium na
miesiąc. Żądają od nich tylko jednego: pracy nad sobą,
uzykiwania coraz lepszych wyników. Mistrz ze szpic-
rutą nie będzie już „Tiny“ poganiał, nie grozi jej głód,
jeśli w określonym czasie nie dojdzie do doskonałości
w ćwiczeniach.

STRAJK NA TRAPEZACH

Skoro zdecydowaliśmy się naszpikować ten reportaż
wspomnieniami artystów, mających za sobą dwadzieś-
cia, trzydzieści lat w służbie areny, przytoczmy jesz-
cze jedną historię z gatunku „śmiej się, pajacu“.

Zdarzyło się to w poznańskim cyrku, pewnego wie-
czora roku 1935. Nadchodziła jesień, co, jak się zrazu
może wydawać — nie miało nic wspólnego z omawianą
sprawą. Jedno z ostatnich w sezonie przedstawień za-
wierało przebojowe popisy „latających diabłów“, czyli,
mówiąc inaczej, grupy gimnastyków napowietrznych
Kazimierza Blumskiego. Siła, zręczność, precyzja —
coż jeszcze więcej można powiedzieć o umiejętnościach
tych młodzieńców, fruujących na trapezach wbrew
wszelkim prawom ciężenia. „Szczęśliwi, zdrowi chłop-
cy“ — mówiono wśród publiczności.

Po skończonym występie „latające diabły“ zamiast
wybiec wśród oklasków, przysiadły na trapezach. —
Schodzić, następny numer! — wołał z dołu dyrektor.
Na próżno. „Szczęśliwi chłopcy“ nie zeszli, bo właś-
nie nie mieli powodów do zadowolenia: kończył się
sezon i wszyscy, jak co roku, dostali na zimę wymo-
wienie. Protestując przeciwko temu, rozpoczęli jedyny
chyba w dziejach strajk okupacyjny na trapezach.

Dyrektor postanowił prowadzić program dalej: wy-
gnał na arenę ociągających się „gladiatorów partero-
wych“. I oto niespodzianka: publiczność wzięła stronę
strajkujących i przegnała „gladiatorów“ kamieniami.
Dopiero niezawodna w takich wypadkach policja poło-
żyła kres „zamieszkom“.

Niesposób było nie wspomnieć Kazimierza Blum-
skiego właśnie tutaj w Julinku, w miejscu, które prze-
cież nie jest niczym innym, jak ośrodkiem zimowym
cyrków państwowych. Zamiast pałętać się przez zimę
bez pracy, zamiast zajmować się ślusarką, szewstwem
czy jakimś innym mało cyrkowym zawodem, tutaj
mieszkają w przerwie między sezonami ci, których

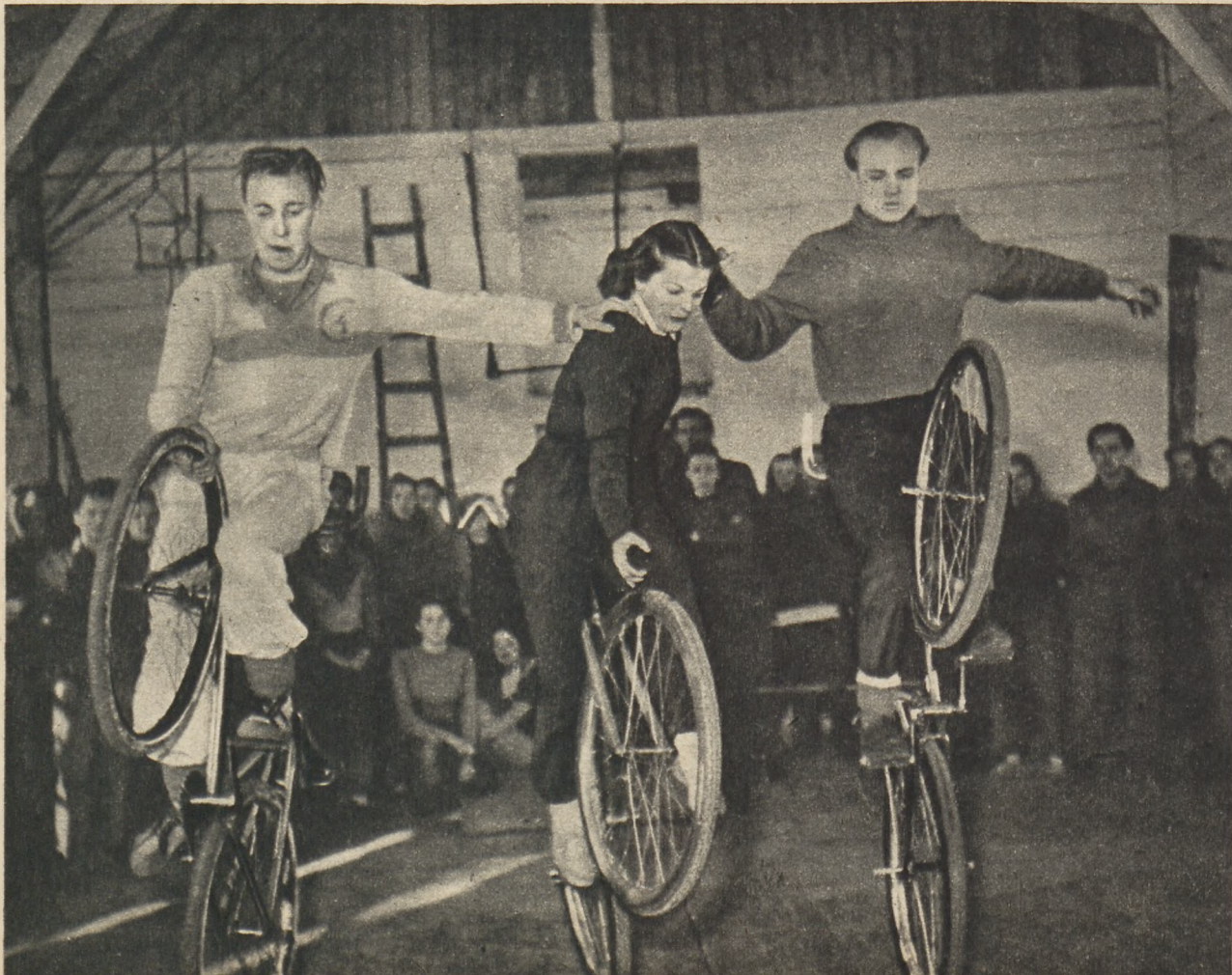


Komik-akrobata Kochmański wywołuje śmiech nawet
podczas prób. Występuje, jak widać, „po cywilnemu“.



„Aurelio“ przygotowuje coraz trudniejsze tricki na Fe-
stiwalu Cyrków Polskich, który odbędzie się w marcu.

Studium Sztuki Cyrkowej w Julinku wyszkoliło niejednego wirtuoza areny. Oto młodzieżowa trupa Koziola (po
prawej) podczas próby nowego numeru. Akrobatyczna jazda na rowerach jest naszą specjalnością cyrkową



Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI

główną życiową pasją jest przecież skakanie na linie, polowanie ognia i tak dalej. Otrzymują normalną pensję i czas swój zużytkowują jak mogą najlepiej: przygotowują nowy program.

„AURELIO“ NIE ŻAŁUJE KŁOSZY..

A w tym roku ćwiczą zacieklej niż kiedykolwiek. Aureliusz Sywenki, żongler o włoskim pseudonimie „Aurelio“, pracuje w osobnym pokoju, z dala od ludzi i świata. Kłosz szklany siedział przed chwilą na jego nosie, a teraz znalazł się na palcach stopy.

— Jak się rozbije, proszę się nie przejmować, mam zapas. Nie pierwszy i nie ostatni...

Wskazał na kupę skorup w kącie pokoju.

— Ale ten trick musi się znaleźć na Festiwalu, tak sobie powiedziałem.

Pot ściekał obficie z twarzy żonglera „Aurelio“, co oznacza, że nie ma wątpliwości przywiązanie do Festiwalu.

Jak zresztą i cały Julinek. Stanisława Żebrowskiego łamał na maszynie, Kazimierza Kołka „mrozący krew w żyłach“ skoki na linie, Anastazego Brauna żonglerka nogami — wszystkie te pracowite próby odbywają się pod kątem Festiwalu. Julinek dźwiga na wyższy poziom naszą sztukę cyrkową.

Festiwal cyrków polskich odbędzie się w marcu we wrocławskiej Hali Ludowej. Zdać się, że będzie na co popatrzeć. Chociażby na widowisko w układzie Odro- węża i Manca pt. „Podróż po świecie“. Daje ono przegląd narodowych specjalności cyrkowych (oczywiście w wykonaniu Polaków): chińskiej ekwilibrystyki, radzieckiej dżigitówki, włoskiej żonglerki, meksykańskich cudów z lassem, polskiej jazdy na rowerach — wszystkiego tego, co stanowi jak gdyby „monopol“ sztuki cyrkowej różnych krajów. Wykształcały się te talenty w ciągu wieków, dały się poznać już w średniowieczu, kiedy na jarmarkach prezentowali je bezimienni, lud- wi artyści.

Czas już wracać, czas dać odpoczynek oczom znu-żonym wirowaniem kul i talerzy, grą mięśni naprężo-nych w wysiłku. Czas powiedzieć: „Tak, ten wasz prze- wiany wiatrem, szary i niepozorny Julinek — nie jest

Baletmistrz Wojnar pragnie wykazać na swoim przykładzie, że każdy numer zyskuje znacznie na atrakcyjności, jeśli wykonany jest z wdziękiem. Taką właśnie postawę powinna przyjąć dziewczyna, ćwicząca z kółkiem...



Hubert Longzyk osiągnie, być może, kiedyś doskona-łość Włocha Rastelli, któremu rodacy wystawili pomnik

jeszcze piękny... Trzeba tylko mieć na względzie różnicę między tym, co jest, a co było...

— No właśnie — powiada gospodarka. — A jeśli się wam nie podobają same budynki, to powiem, że za parę lat powstanie tu całe miasteczko cyrkowe, z are- nami, z wielkimi halami do treningów, z reflektorami i z muzyką. Już nawet zaczęli zwozić cegły...



Seichorsch klęczał ciągle. Teraz przymknął oczy, głowę od- wrócił, zacisnął pięści...

— Co zamierzam robić? Zwyczajnie... — powiedział tamten. Wziął mój bochen chleba, przekroił, jedną część oddał mi z powrotem na kolana, drugą podsunął esesmanowi. Potem, jakby napelniał go wstręt, spłukał, stuknął nożem w ławę i krzyknął:

— Idź precz! Kiedy zamknęły się drzwi za hitlerowcem ściskającym pod pachą gion chleba, nikt z nas długo nie przerywał milczenia... Szafranec obejrzał przygasłego papierosa, dopalił kilkoma pociągnięciami, wyrzucił. Od strony miasta słychać było stłu- mione dzwonienie tramwajów i gwar ludzkich głosów.

— No cóż? — podniósł wysoko brwi wystukując palcami mar- szą na kamieniach muru — pewnie go wykończono w dzień czy w dwa później. A my z jego powodu stoczyliśmy kilka zaciętych, wielogodzinnych dyskusji, kłótni niemal. Jako hi- tlerowca, dozorcę z Buchenwaldu, należało go bezwzględnie zatrzymać. Ale widzisz, on budził w nas litość. Nikt z nas nie mógłby go zabić jak psa, bo znaleźliśmy w nim znikomy pro- cent człowieka. Doszedłem znacznie później do wniosku, że trzeba go było przekazać władzom, niechby go sprawiedliwie osądzili. Tylko że dziś ta sprawiedliwość, z którą się zetkną-łem tu w Międzynarodowym Trybunale Wojennym, budzi we mnie coraz silniejsze wątpliwości. Wygląda tak, jakby Anglo- sasi zdecydowali się skazać kilku hitlerowców pokazowych, głównych, ale poza tym jak najwięcej oszczędzić pozostałych. Obawiam się, że mamy na to zbyt mały wpływ...

Zaczelśmy wstępować po pochylonej drodze, aż otwo- rzył się przed nami szeroki widok na zamkowe dziedzińce, na basztę zieloną z wieżami, pod którą prowadził wygodne przejście. Zastukały kamienie pod naszymi krokami, powiał skądś zatechły, piwniczny chłód.

Szafranec został, zapalając jeszcze jednego papierosa, ja poszedłem naprzód. Stąd widać było Norymbergę leżącą w wio- sennym słońcu, pełną zniszczeń i śladów niedawnej wojny, jakby pokryta liszajami. Wszedłem w cień baszty szukając drogi na górę i spostrzegłem, że pod schodami ktoś jest. Męż- czyzna w jesłonce z kołnierzem osłaniającym dół twarzy od- wrócił się do mnie, stanęliśmy oko w oko. Z bliska jego rysy nie wydawały mi się pozbawione wyrazu, przeciwnie, była w nich stężona do niepospolitych rozmiarów gorzka, determi- nacja, cynizm może, czy ja wiem? Ale wszystkie te uczucia zgasił niepokój napelniający stopniowo jego rozbiegane oczy. Nie mnie się przestraszył. Patrząc ponad moją głowę, spo- strzegł Szafranca. Obejrzałem się. Milczeli dość długo, wresz- cie redaktor zrobił krok naprzód, wyciągając paczkę „Pionle- rów“. Zrozumiałem, że mój kolega nie jest pewny, czy roz- poznaje tego człowieka. Zaczął mówić po niemiecku:

— Dzień dobry, panie Seichorsch. Interesujące spotkanie. Może pan zapali?

Niemiec wziął papierosa brzydkim ruchem i zapalając, pa- trzył tylko na piomien.

— Tak — powiedział ochryple — interesujące spotkanie. Przypnij. Powinienem znowu klęknąć przed panem, jak wtedy.

Nieprzejmny grymas, mający być uśmiechem, zeszedł je- go rysy przy tych słowach.

Zaległ milczenie. Słychać było dolatujące z oddali krzyki chłopców grających w piłkę. Szafranec głośno zakaszał. Echo zabrzmiało wysoko pod sklepieniem baszty, kilka wron zer- wało się stamtąd, strącając nam na głowy nieco tynku; odle- ciały bez pośpiechu klepiąc skrzydłami powietrze.

— Nie było po co klękać — powiedział Seichorsch, rozkładaj-ając ręce — ani żony, ani dzieci, grzyby na miejscu domu, gru-zy zamiast naszej ulicy.

Zamilkł. Patrząc tam, gdzie w słońcu wiosennym widać by- to dzielnice ruin. Zupenie cicho powtórzył:

— Nie było po co klękać. Łatwiej pomiędzy gruzami, sam nie wiem, czego szukam, swoich dzieci, swojej żony, przeszłości...

Szafranec, widziałam to, przyglądał się Seichorschowi, su- rowo i bardzo uważnie, jakby się na coś decydował.

— Ukrywa się pan? — zapytał, a wyglądało tak, że był tego pewny.

Seichorsch pokiwał głową.

— Nie. Hitlerowiec, esesman Seichorsch, mieszka przy ulicy Steinplattenweg dwadzieścia pięć. Zamelduj pan o tym, a ju- tro przyjdź pan sprawdzić, czy mnie zabiorą.

Znowu grymas uśmiechu rozciągnął jego usta.

— Nie zabiorą. Chociaż więzienie norymberskie ma sporo cel. Dygnitarze Trzeciej Rzeszy nie zajmują całego miejsca. Hermann Goering, co mnie przez tyle lat jak psa trzymał za drutami, co mnie szarpał na ludzi, kazał ich kasać, co mi rodzi-nę zabił i życie zmarnował, nie potrzebuje dla siebie całego więzienia. Mimo to nie zabierają mnie jakoś.

Zaciągnął się papierosem szybko, łapczywie, zmrużył oczy od dymu. Szafranec w sposób widoczny zacisnął pięści w kie- szeniach. Seichorsch mówił dalej:

— Międzynarodowy Trybunał Wojenny... Wie pan, są jesz- cze durnie, co wrzucają do skrzynek pocztowych listki dla Goeringa, chwala jego zeznania i butne zachowanie się pod- czas procesu. Piszą: „Brawo Hermann!“ Tak, brawo... Tym jeszcze było za mało wojny. Idłoci. Ale są jeszcze inni. Wie pan, co robią?

Cofnął się pod ścianę baszty, wsparł plecy na wystającej belce, otworzył usta i zamknął. Potem zaczął mówić zacisnąc się, jak bywa po wielkim płaczu albo jakby był jakaś. Chcac to pokonać, potęgował głos i niemal krzyczał:

— Agentów do mnie przysyłają. Żeby się tylko podpisać. Służba na wyjazd. Nie mówią dokąd, ale dużo obiecują. Kara za Buchenwald może być uchylona lub zawieszona; krótkie więzienie z zagwarantowanymi wygodami. Słyszysz pan? Mor- derycy są znowu potrzebni!

Palce, którymi trzymał się belki, zupełnie pobieleły. Ciem- ne oczy jarzyły się gorączką na tle wapienne-białych policz-ków. Powiedziała spokojnie i stanowczo:

— To są brednie. Rozsądny człowiek nigdy panu nie uwierzy.

Seichorsch patrzył na mnie z wyrozumiałością.

— Człowiek nigdy nie wierzy w to, czego sam nie doświad- czył. Ale zobaczcie się za parę lat. Pięć, dziesięć. Kiedy nowe formacje SS będą okrzykiwać „Gott mit uns“ albo inne hasła, marząc o nowej wojnie.

Zdawało mi się, że Szafranec zareaguje, tymczasem on spuścił głowę nie spuszczaając wzroku z Seichorschą i czub- kiem buta przegarniał grudki ziemi. Wzruszyłam ramionami, mówiąc z potępieniem:

— O dwa kroki od Trybunału, jak na urągowsko opowiada pan takie rzeczy.

Seichorsch podniósł głowę.

— Tak. Opowiadam. Powtarzam to wszystkim Niemcom i bę- dę powtarzał. Znajomym i obcym. Nie mam już dzieci ani żo- ny, nie potrzebuję się bać o nikogo. Mogę mówić. Agenci na darmo do mnie przychodzą. Nie mam zamiaru podpisać de- klaracji. Już dosyć służyłem w SS.

Umilkł. Zadeptał papierosa. Nie patrząc na nas powiedział:

— Sądzę pan pewno, że jestem obłąkany. Proszę się jutro przekonać. Steinplattenweg dwadzieścia pięć. Esesman Seichorsch przebywa na wolności.

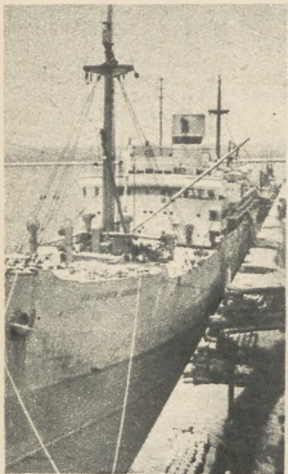
Nie spojrzawszy na nikogo z nas, odszedł spod baszty po pochyl-nej drodze wiodącej do miasta. Z zamkowej wyniosłości wi- działem go jeszcze bardzo długo. Minał niewielki placik zalany potokami słońca, przy którym stał starożytny dom Dürera, wszedł na ulicę szeroką, przestronną, gdzie wiatr po- ruszał długie wityki placzących wierzb, kołysząc je i przetrzą- sując nimi krajobraz, jak złoto-zielonym deszczem.

— Esesman Seichorsch odzyskał mowę — powiedział Szafra- nec w zamyśleniu — i zdaje się, że przestał być esesmanem...

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

BY ZWIĘKSZYĆ POŁOWY RYB



S/s „Fryderyk Chopin” w porcie gdyniskim

W ubiegłym sezonie śledziowym na łowiskach Morza Północnego naszym kutrom rybackim towarzyszyła jedna baza pływająca, znana już w kraju „Morska Wola”. Statek-baza przejmując od rybaków ryby na pełnym morzu i w ten sposób rybacy oszczędzają wiele czasu, który dawniej tracili na rejsy z łowisk do baz krajowych na lądzie.

Nasi rybacy dalekomorscy, chcąc w czyn wprowadzić tezy IX Plenum, postanowili w roku 1954 dostarczyć krajowi o 17 proc. więcej ryb niż w roku ubiegłym. Partia i rząd przyszli im z pomocą w tych zamierzeniach i przekazali do dyspozycji na przyszły sezon połowów drugi statek-bazę, duży parowiec Polskich Linii Oceanicznych — s/s „Fryderyk Chopin”.

S/s „Fryderyk Chopin” w jednej ze stoczni przygotowuje się już do swej nowej roli. J. Kiełbicz, Gdynia
Fot. Syrowatko

GRA JUŻ KAŻDY KAWALEK DREWNA



Grupa pracowników fabryki skrzypiec w Lubiniu Legnickim z uwagą śledzi działanie nowego aparatu

Od pewnego już czasu pracownicy Dolnośląskiej Fabryki Mechanizmów Fortepianowych i Instrumentów Lutniczych w Lubiniu Legnickim zastanawiali się nad tym, w jaki sposób podnieść jakość produkowanych przez siebie skrzypiec. Bo chociaż wymiary pudeł, grubość ścianek, rozmieszczenie podstawek, jakość drewna były bez zarzutu — instrumenty nie należały do najlepszych. Po dyskusji pracownicy tych zakładów doszli do wniosku, że należy poddać kontroli półfabrykaty. O pomoc w tej sprawie zwrócili się do Zakładu Fonograficznego Uniwersytetu Poznańskiego.

I rozpoczęły się poszukiwania właściwej metody kon-

trolli półfabrykatów. Po rocznej współpracy z polskimi naukowcami z doświadczonymi pracownikami fabryki skrzypiec, skonstruowano specjalny aparat, który notuje częstotliwość drgań rezonansowych każdego odcinka drewna, które ma być użyte do wyrobu skrzypiec.

Dzięki temu aparatowi można już dobrać do wyrobu skrzypiec drewno najlepszej jakości, o pożądanej częstotliwości drgań w poszczególnych partiach skrzypcowego pudła. Nie trzeba dodawać, że od tej pory jakość skrzypiec Dolnośląskiej Fabryki Mechanizmów Fortepianowych i Instrumentów Lutniczych znacznie się podniosła. Z. Tempicki, Poznań

BLASKI I CIENIE KARPACZA I BIERUTOWIC

Kiedy po długich oczekiwaniach na śnieg ustaliła się wreszcie piękna, zimowa pogoda — górskie miejscowości zaroiły się gwarnymi, wesołymi tłumami wczasowiczów. Tak jest i w Karpaczu i w Bierutowicach, uroczonych wspaniałymi widokami na szczyty gór.

Warunki mieszkaniowe i wyżywienie w domach FWP i „Orbisu” w Karpaczu są na ogół dobre. Urozmaicone zjadły — łagodniejsze i trudniej-

sze — zachęcają do uprawiania „białego szaleństwa”, a piękne okolice i ciekawe zabytki — do plesznych spacerów.

A więc tradycyjny spacer do starej świątyni Wang z XIII wieku — wykonanej całkowicie z drewna i przeniesionej tu z Norwegii.

Ciekawym zabytkiem z wieku XIV jest kaplica św. Anny w kształcie rotundy, malowniczo położona na zboczu góry wśród lasu. Tuż przed nią wytryska źródło zwane „Źródłem miłości”.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że Karpacz i Bierutówice posiadają same blaski. Niestety są i cienie.

Do września ubiegłego roku „Orbis” prowadził w Bierutowicach pięć luksusowych domów wczasowych. Teraz stoją one puste. Okazuje się, że po wywiezieniu mebli, stylowych lamp, dywanów, chodników, a nawet kontaktów elektrycznych — domy te zostały wydzierżawione Oświęcimskiemu Zakładom Koksochemicznym na kolonie letnie dla dzieci. Tak więc w pełni sezonu narciarskiego 170 miejsc stoi niewykorzystanych, a w pustych, niedługo luksusowych pokojach hula-ja wiatry, śniegi i — jak to



Po śniadaniu idziemy na trening.

Setka dziewcząt i chłopców stoi nieruchomo. Sto par oczu patrzy na podniesioną dłoń dyrygenta. I nagle — na dany znak — wybucha melodia piosenki. Chórowi wtóruje dwanaście akordeonów. Pieśń wznosi się i opada, wreszcie

— dzwiczny, potężny akord końcowy...

Próba wypadła dobrze, dyrygent jest zadowolony.

Chór i zespół akordeonistów, które widzimy na zdjęciach, wchodzi w skład Centralnego Zespołu Pieśni i Tań-



Na ćwiczeniach baletowych dziewczęta wstępują zgodnie i rytmicznie wykonywać ruchy taneczne

DZIEŃ I NOC W SŁUŻBIE ZDROWIA

W poczekalni siedzi kilka osób: jedna z ręką na temblaku, druga — z obandażowaną nogą, trzecia — z silnym obrzękiem twarzy i oka.

Jest biało i czysto, a w powietrzu unosi się słodka woń lekarstw.

Odgłos pośpiesznych kroków na korytarzu ściga uwagę i wzrok: lekarze i pielęgniarki idą za wózkiem, na którym leży chora — wszyscy znikają za drzwiami sali operacyjnej.

Przed kilkunastu minutami uległa wypadkowi kobieta, karetką przywiezioną ją do Stacji Pogotowia Ratunkowego i za chwilę znajdzie się na stole operacyjnym.

Zabieg nie trwa długo, ofiarę wypadku przewożą na salę chorych. Jej życiu nic już nie zagraża.

Teraz lekarz bada mężczyz-

nę z ręką na temblaku: złamanie. Z kolei i on przechodzi na salę operacyjną.

Na dziedzińcu Stacji Pogotowia Ratunkowego stoi kilka karetek w każdej chwili gotowych do odjazdu. Do jednej z nich wsiadają dwaj doświadczeni pracownicy Pogotowia: kierowca — Władysław Kołodziejczyk i sanitariusz — Jan Węclaw. Na wezwanie telefoniczne spieszą do wypadku przy ul. Krupniczej.

Stacja Pogotowia Ratunkowego przy ul. Siemiradzkiego w Krakowie czuwa dzień i noc. Dzień i noc dzwoni telefon wzywający do wypadków i nagłych zasłabnięć. Dzień i noc lekarze i pielęgniarki dokonują zabiegów, opatrują rany, niosą pomoc i ulgę cierpiącym.

Ryszard Zawadowski, Kraków



Już w kilkanaście minut po wypadku chorą operuje doświadczony chirurg Pogotowia

„SP” TĄNCZY, „SP” ŚPIEWA

ca „SP” w Warszawie. Powstał on w październiku ub. r. i liczy obecnie 350 dziewcząt i chłopców z warszawskich zakładów pracy. Obok chóru i zespołu akordeonistów jest sekcja baletowa (110 osób), orkiestra dęta (75 osób) i zespół instrumentalny (32 osoby).

Pracę w Centralnym Zespole „SP” prowadzą fachowcy: Edward Jozajtis, Władysław Jozajtis, Władysław Kierasiński, Edward Furtka i Józef Marcinia.

Plany Zespołu są bardzo ambitne: W dniu 22 lipca, w dziesięciolecie Polskiej Ludowej, da on swój pierwszy występ w Komendzie Głównej „SP”, a we wrześniu rozpocznie koncerty w zakładach pracy w miastach i na wsi.

W chwili obecnej Zespół nie ma jeszcze zbyt dogodnych warunków pracy: pomieszczenia do ćwiczeń są za ciasne, brak jest umywalni.

Pracę Zespołu utrudnia też

fakt, że Ministerstwo Gospodarki Komunalnej nie chce zezwolić członkom Zespołu na korzystanie z ulgowych, 15-groszowych przejazdów miejskimi środkami lokomocji. Przy przejazdach z Żerania, Woli czy Powiśla na ul. Szwoleżerów, gdzie odbywają się próby, wielu członków Zespołu musi codziennie wydawać na bilety dwa złote lub więcej. Jest to wydatek dość poważny, na który nie każdy z nich może sobie pozwolić.

Również i niektóre zakłady pracy, które — mimo licznych interwencji — przenoszą członków Zespołu na drugą lub trzecią zmianę, uniemożliwiają im w ten sposób uczęszczanie na próby.

Przy dobrej jednak woli trudności te można usunąć. Spodziewamy się, że ta dobra wola będzie jak najprędzej okazana.

Tomasz Czabański, Warszawa
Fot. L. Prymaka



Ponad 100 chłopców i dziewcząt śpiewa w chórze Zespołu Pieśni i Tańca „SP”

KOCHANA REDAKCJO!

Jestem małą Warmiaczką, urodzoną w Olsztynie. Mam 10 lat i chodzę do szkoły w Likuzach. Chcę kochanej Redakcji podziękować, że tak ładnie napisała o moim tatulusie, motorniczym tramwajów w Olsztynie. Bardzo to tatulusowi pomogło, bo dyrekcja obiecała, że dostanie mieszkanie w Olsztynie i nie będzie potrzebował chodzić po nocy tak daleko z Olsztyna do Likuz.

Wszyscy tatulusowi wieszowali i każda konduktorka kupiła po jednym numerze „Świata” dla tatusia.

Ja chodzę do polskiej szkoły, nie tak, jak moi starsi bracia i siostry, którzy musieli uczyć się po niemiecku. Jak dorosnę, to chcę pracować w żłobku i uczyć później małych Warmiaków.

Nasz Olsztyn jest bardzo ładny, bo ma dużo jezior i lasów, a w każdym kiosku z gazetami można kupić „Świat”.

Serdecznie pozdrawiam kochaną Redakcję od tatusia, mamusi, starszej siostry — Małgorzaty.

Eryka Gęś
Likuzy, pow. olsztyński”.

O Bernardzie Gęsle, najstarszym motorniczym Olsztyna i ojcu małej Eryki, pisaliśmy w ub. roku w 41 numerze „Świata”, wspominając również i o tym, że mimo starań dotychczas nie otrzymał mieszkania w mieście i codziennie musi dojeżdżać z odległych Likuz do miejskiej pracy. Cieszymy się, że nasza korespondencja odniosła skutek i że władze zainteresowały się sprawą mieszkania dla zasłużonego pracownika.

REDAKCJA



Eryka Gęś

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

OSŁABIACZ FARMERA

Najbardziej popularnym, prostym w zestawieniu i użyciu, jest osłabiacz Farmera. Można nabyć gotowy preparat w szklanych rurkach na 200 cm. sześć. Kapielem lub sporządzić go samemu, mieszając 100 cm. sześć. 10-procentowego roztworu tiosiarczanu sodu z 10 cm. sześć. 10-procentowego roztworu żelazianku potasu.

Oba te roztwory przechowywane osobno w ciemnych butelkach są bardzo trwałe, po zmieszaniu psują się jednak szybko. Osłabiacz jest dobry, dopóki nie zółty kolor.

Osłabiacz Farmera nie nadaje się do wszystkich celów. Atakuje on przede wszystkim słabo partie negatywu (ciemne pozytywy), pozbawiając je całkowicie delikatnych półtonów. Rezultatem jest silne zwiększenie ogólnej kontrastowości negatywu. Działanie tego osłabiacza porównać można do pracy struga stolarskiego, którego ostrze równomiernie zdejmuje wióry z całej powierzchni deski. Dlatego też osłabiacz Farmera stosować można jedynie do negatywów, które są bardzo silnie kryte zarówno w światłach, jak i w cieniach.

Osłabiacz Farmera używany jest i do pozytywów, dla usunięcia ogólnego „zadymienia”, rozjaśnienia najsłabszych światel. Może być stosowany lokalnie, przy czym posługujemy się pędzikiem lub zwilżnikiem waty. Większe płaszczyzny fotografu opracowujemy po uprzednim ich zwilżeniu.

Negatywy przed osłabieniem należy dokładnie namoczyć w wodzie. Po zanurzeniu ich w kapielem osłabiającą należy je stale poruszać, aż do osiągnięcia pożądanej przejrzystości. Po osłabieniu dokładnie płuczemy w bieżącej wodzie. Równie starannie płuczemy po podobnym zabiegu pozytywy papierowe, zarówno poddane kapielem na całej powierzchni, jak i osłabiane tylko w niektórych miejscach.

Osłabiacz Farmera, rozcieńczony kilkakrotnie wodą, działa wolniej i mniej kontrastowo, jednakże w zastosowaniu do papierów grozi zaosłabieniem miejsc rozjaśnionych. Przy osłabianiu negatywów istnieje niebezpieczeństwo częściowej utraty ostrości rysunku, gdyż osłabiacz Farmera rozpuszcza przede wszystkim srebra w powierzchniowych warstwach emulsji, gdzie ostrość rysunku jest najwyższa.



Piękne są góry w śniegu i dobrze wśród nich narciarzom



MATTI PIETIKAEINEN W DRODZE PO TYTUŁ MISTRZA ŚWIATA

Fot. Keystone

NOWI MISTRZOWIE ŚWIATA

W narciarskich mistrzostwach świata w Falun dwukrotny tytuł mistrzowski w biegu na 30 km i 50 km zdobył zawodnik Kuzin (ZSRR). Mistrzem świata w skokach został 28-letni Fin — Matti Pietikainen

REKORD KALBARCZYKA POBITY

W indywidualnych mistrzostwach Wojska Polskiego na torze lodowym w Zakopanem szeregowiec Stanisław Szczepański pobili niewzruszony od sześćnastu lat rekord Janusza Kalbarczyka w biegu łyżwiarskim na 500 metrów, uzyskując rewelacyjny czas 45,1 sek.

Szczepański na trasie biegu



Fot. W. Werner



Reprezentanci Berlina wschodniego i Kolonii (Niemcy zachodnie) na lodowisku imienia Wernera Seelenbindera

PADAJĄ SZTUCZNE BARIERY

Na lodowisku Werner-Seelenbinder-Halle we wschodnim Berlinie coraz częściej spotykają się na wspólnych treningach i przyjacielskich meczach wybitni sportowcy Niemiec zachodnich i NRD

Po skończonym meczu gratulują sobie wzajemnie łyżwiarki berlińskiego Klubu „Niedźwiedź” i Klubu z Kolonii



Notatnik zapaleńca

NIEZWYKŁE EMOCJE

TEGOROCZNY kalendarz imprez międzynarodowych zapowiada nie byle jakie emocje. Mistrzostwa świata w piłce nożnej, rewanżowy mecz Anglia—Węgry, kolarskie mistrzostwa świata, lekkoatletyczne i pływackie mistrzostwa Europy, mistrzostwa świata w szermierce, ping-pongu, pięcioboju nowoczesnym, w szachach — wyliczam imprezy najbardziej dla nas atrakcyjne. Już odbyły się mistrzostwa świata w jeździe szybkiej na lodzie, mistrzostwa Europy w tejże dyscyplinie, mistrzostwa narciarskie świata. Zaczynają się mistrzostwa hokejowe. A myślę, że nasi kolarze pamiętają, iż tylko dwa miesiące dzielą nas od Wyścigu Pokoju, który został przez międzynarodowe władze kolarskie wciągnięty także do oficjalnego kalendarza imprez międzynarodowych.

Jazda szybka na lodzie zakończyła się zwycięstwem zawodników radzieckich — i nie było to niespodzianką. Niespodzianką większego kalibru było zwycięstwo Kuzina w biegu narciarskim na 30 km. Długoletnie panowanie Finów zostało przełamane. Na szlaki narciarskie wkroczyła nowa potęga. Różne mogą być jeszcze koleje współzawodnictwa biegaczy fińskich i radzieckich, ale jedno jest pewne: Finowie zyskali konkurenta co najmniej równorzędnego. Nie jeden bowiem Kuzin stanowi o sile radzieckiego narciarstwa — ale cała rodzina: Terentiew, Kołczin (który, zdaniem fińskich speców, zapowiada się najlepiej), Kuzniecowa, rutynowany Oliaszew, Borin, Jeroszyn. No i, rzecz jasna, legion biegaczy z Carewą na czele.

A w skokach? Tu zawodnicy radzieccy mają jeszcze niejedno do nadrobienia. Zdają sobie z tego doskonale sprawę i nie po sukcesy wyjechali do Falun. Inna sprawa, że skakali tam porządnie stremowani. Kamieński podobał się najbardziej. Otrzymywał wysokie noty za styl, ale skakał zbyt krótko. Skwircow miał skoki o dobrej długości, ale za to duże braki w stylu. Ale jeśli postęp skoczków radzieckich będzie równy s k o k o m (słowo wyjątkowo na miejscu!) w innych dziedzinach — za dwa lata, na konkursie olimpijskim, będą oni już mieli wiele do powiedzenia.

Weźmy hokej na lodzie! W Związku Radzieckim, kraju łyżwiarzy, gra się w hokeja od dawna — ale w innego: nazywa się go „hokej rosyjski”, gra się jednakami, kije są zaokrąglone, zamiast krążka jest piłka. Nie zarzucono „hokeja rosyjskiego”, ale wzięto się też do tego drugiego, z krążkiem. Kilka lat treningu, gier, rozgrywek mistrzowskich, próbnych spotkań z drużynami zagranicznymi — i jesteśmy świadkami startu nowej potęgi. Przypomnijmy dla porównania trzy rezultaty spotkań towarzyskich ze Szwajcarią: Czechosłowacja — 2:1, Kanada — 6:5, ZSRR — 13:1. Atak, w którym gra Bobrow (ten sam, który jako piłkarz strzelał w 1945 r. gole londyńskiemu „Arsenalowi”), ten atak umie sobie znaleźć drogę do bramki przeciwnika. Toteż Kanadyjczycy — arcy mistrze hokeja na lodzie — mobilizują najlepszych graczy do Sztokholmu, a Stany Zjednoczone, które nie czują się zbyt pewne w tej konkurencji, wolały w ogóle mistrzostw nie obstać.

Ciekawie zapowiada się start pływaków radzieckich w tegorocznych mistrzostwach Europy (Turyn). Olimpiada w Helsinkach zastała pływactwo ZSRR w okresie przesilenia: dawne znakomitości, jak Mieszkow i Uszakov, najlepsze lata mieli już poza sobą, a młodzi, tacy jak Sołowiow, Drobinski czy Edasi, nie osiągnęli jeszcze pełni możliwości. Przełom nastąpił w roku ubiegłym. Mężczyźni pobili rekordy przeciętnych dziesięciu najlepszych w sześciu konkurencjach, kobiety w dwóch. Dziesiąty wynik na 100 m st. dowolnym mężczyźni był 59,5, na 400 m dow. — 4:53,8. Press uzyskał na 1500 dow. 19:10,1 (czas lepszy od rekordu Gremłowskiego), a Frołow na 100 m mot. — 1:07. B. rekordzista świata Minaszkina uzyskał na 100 m żabką 1:11,2, a na 200 m 2:38,2. Najcenniejszy jest chyba wynik Sołowiowa na 100 m grzbietowym — 1:05,9. W roku bieżącym pływacy radzieccy zdążyli już pobić rekordy świata w sztafetach 4 × 100 m dow. i 4 × 100 m zmiennym, a Minaszkina uzyskał na 100 m żabką 1:11, co jest już tylko o 0,1 sek. wynikiem gorszym od rekordu świata Petruszewicza (uwaga, Marku!).

Wszystko to zapowiada się rewelacyjnie. Jeśli dodamy do tego wspaniałe wyniki pływaków węgierskich, jeśli przyznamy się, że liczymy na Petruszewicza i Klemińską, a po cichu na Gremłowskiego i na najlepszych z naszej młodzieży — ujrzymy obraz, jakiego nigdy może jeszcze nie było: obraz przewagi pływaków wschodnio-europejskich.

Zapaleńcy, gotujcie się do niezwykłych emocji!

OPOWIADANIE

GOMEZA

KOMUNISCI z Rio Tinto mówią: Uwaga, to podstęp, to nieczysta sprawa. My nie chcemy iść razem z Guardia Civil. Ale komitet Frente Popular z Huelvy lekceważy to ostrzeżenie. Tak więc idą wszyscy razem na przedmieście Seville — La Panioletta. Komendę nad transportem dynamitu, wiezionego na samochodach ciężarowych, mieli górnicy z Rio Tinto, ale w pewnej chwili, już na przedmieściu, górnicy zauważyli, że jeden samochód ciężarowy, wiozący Guardia Civil wysunął się na czoło i szybko odjechał, a drugi, który również wioził Guardia Civil znalazł się na końcu kolumny zamykając pochód. Górnicy nie mogą dogonić pierwszego samochodu, bo z dynamitem nie wolno szybko jechać, a od drugiego samochodu, z tyłu, nie mogą się oderwać. Tak więc Guardia Civil wzięła górników w dwa ognie. Zaatakowani próbowali odpowiedzieć, ale mieli tylko myśliwską broń. Wybili wtedy na tej drodze sześciuset górników. Ani jeden nie uszedł.

Gomez zamilkł na chwilę. „Spekulacja” jakby czekał na tę przerwę; już szedł przez świetlicę ze szklanką wody ku mówcy. „Filutek” w sposób podejrzanym pociągał nosem i mrugał oczyma. Palcami poruszał koło oczu, jakby zganiał na policzku jakąś uprzykrzoną muchę. Romek, oparty o okno, skrzyżował ramiona na piersiach i nie spuszczał oczu z twarzy Gomeza. Patrzył zachłannie, jakby widział go po raz pierwszy, a przecież zdążył przywyknąć do jego widoku — tyle tygodni mieszkali już w jednym pokoju!

Gomez podjął dalej swe opowiadanie.

— Tymczasem ludność robotnicza Seville szturmowała koszar, w których zamknęli się faszysty, ale koszar w Seville otoczone są fosą na trzy metry szeroką i głę-

z domu do domu, z mieszkania do mieszkania i mordowali wszystkich: kobiety, starców, dzieci.

My, młodzi, zostaliśmy w Huelva i z innymi młodymi, którzy byli w Rio Tinto budowali barykady, zagradzając w ten sposób drogi wiodące z Seville w nasze strony. Na drodze, między Seville a Huelva, jest most; obłożyliśmy więc ten most dynamitem, przecięliśmy lonty, usiedliśmy w pobliżu i czekamy. Czekamy dniem i nocą, żeby go wysadzić, gdyby się pojawili faszysty. I pojawili się, ale myśmy: mostu nie wysadzili. Nie było dowództwa, nikt nie wydawał rozkazów, nikt nas nie zorganizował. Nawet dwururką można się bić, no pewno, że niedługo, ale najgorzej jest, gdy nie ma kierownictwa. Oni mieli kierownictwo, mieli karabiny maszynowe, lotnictwo i wszystko to, co jest potrzebne armii. Mimo to naród hiszpański przez trzy lata bił się z faszystami, nie tylko hiszpańskim, ale i włoskim i hitlerowskim. Bo można bić wroga nawet przy słabym uzbrojeniu technicznym, ale przy silnym uzbrojeniu ideologicznym, kiedy napadnięty wie, za co się bije i czego broni. Myśmy bronili sprawy proletariackiej! Faszysty przeszli most, a wiecie, kto z nimi wrócił? Kto wrócił do Huelva? Komendant Guardia Civil, Aro, i porucznik Guardia Civil, Murillo, a oni przecież znali wszystkich komunistów, socjalistów, republikanów... Kogo znali, o kim wiedzieli, że należał, albo sympatyzował z Frente Popular, wyprowadzali go na ulicę i bez sądu rozstrzelali. Pomagali im w tym reakcyjniści. Chodzili z domu do domu, z mieszkania do mieszkania. Był u nas dawno, już jakieś 100 lat temu, malarz, nazywał się Goya. On namalował pewien obraz o takiej treści: w nocy, pośród ciemności Francuzi wprowadzili na wzgórze Hiszpanów i przy świetle latarni strzelali do nich. Straszny obraz. Wtedy, kto mógł, kto zdołał się wyrwać faszystom, ten uciekał z okrzykami. Starzy, kobiety, młodzi. Do lasu, w pola, do innych miast i miasteczek, gdzie ich nikt nie znał. Zgroza. Opowiadałem wam już, że kiedy powstał u nas spółdzielczy skład apteczny, to ja odszedłem od prywatnego przedsiębiorcy i poszedłem do spółdzielni. Farmacja ta należała do związków zawodowych, po zwycięstwie faszystów w naszym okręgu, dawny mój pracodawca, właściciel składu aptecznego, okazał się najbliższym przyjacielem Murillo, tego z Guardia Civil, no? Ten Murillo to była bestia. Nawet za czasów republiki wykorzystywał swą władzę, lecz republika, niestety, nie zrobiła z nim porządku. Nawet za czasów republiki, jeśli Murillo spotkał wieczorem na ulicy robotnika, to go legitymował i rewidował, a gdy znajdował u niego legitymację związków zawodowych zamykał go na dwa tygodnie. Związki zawodowe protestowały przeciw temu i miano go przenieść do innego miasta, ale również do Guardia Civil... A teraz wrócił i zachłannie szukał przeciwników politycznych, sympatyków Frente Popular, członków związków zawodowych. Ale skąd pomyśl szukać byłych pracowników spółdzielczego składu aptecznego? Oczywiście podsunął mu ten pomysł mój dawny pracodawca, bo skład spółdzielczy był jego konkurentem. Zresztą po zwycięstwie faszystów cały ten skład sobie zagroził. Okazało się, że chciał także zamordować tych, którzy tam pracowali. Murillo pyta o mnie. Przyszedł w czasie mojej nieobecności — w nocy — do mieszkania i pytał matki i siostry, gdzie jestem. Ruszyłem wtedy z domu. Miałem 16 lat, ale wolałem siedzieć w lasach niż stracić życie za młodo i to bez walki. Nadchodziła późna jesień; nocami było bardzo zimno, gniebił głód. W lasach Estramadury i okolicach Kordoby ulokowali się partyzanci; nawiązaliśmy z nimi kontakt, ale oni też nie mieli co jeść. Nie tylko oni, nie tylko robotnik w mieście, ale nawet chłop na wsi nie miał co jeść, bo u nas chłop ziemi nie ma, ziemia należy albo do panów, albo do kościoła. Jakaż więc może być sytuacja w lesie i to w takich czasach, kiedy się poluje na ludzi za to, że pracowali u konkurenta? No? W dzień więc śpiemy, a w nocy szukamy jedzenia. Wierzymy, że republika, że demokracja zwycięży i wrócimy do swoich. O tym tylko mówiliśmy i marzyliśmy. Po jedzeniu szli zawsze najstarsi, ja zaś, jako najmłodszy, zostawałem w lesie z chorymi i rannymi. A chłop albo dał nam coś, albo i nie dał. Kiedyś wysłano i mnie wraz

z dwoma innymi towarzyszami, starszymi ode mnie. Idziemy i idziemy, noc już zapadła, wreszcie spostrzegamy dom, a w domu światło. Podeszliśmy ostrożnie bliżej i patrzymy: dom okazały, bogaty jakiś gospodarz musi w nim mieszkać — myślimy sobie i wchodzimy. W kuchni zastaliśmy starszego już mężczyznę i młodą kobietę. Dajcie chleba — mówię. — Chleba? — odpowiada gospodarz, chleba? A wy kto? I z jakiej racji mam wam chleb dawać? Wtedy powstała ta kobieta i mówi: nie pytaj tyle, tylko daj. Daj im i niech idą. A ilu was? — zapytała. Dwudziestu — odpowiadamy — bo tylu nas było. Później się okazało, że wrogowi nigdy nie wolno mówić prawdy, bo za to się płaci własną głową. Ale o tym opowiem za chwilę. Więc mówię jej, że jest nas dwudziestu. No — powiada ta kobieta — to macie tu dziesięć bochenków chleba, po pół dla każdego i idźcie sobie z Bogiem. Tak powiedział: idźcie sobie z Bogiem. Mężczyzna zaczął nosić bochenki chleba, a kobieta, która do tej pory tyle gadała, milczy i patrzy na mnie. Tak dziwnie patrzy, że ile razy spojrzę jej w oczy, to mi się dziwnie koło serca robi. Obawa to, lęk? Kto to wie? Straszno, mówię wam, kto tak spojrzysz na was, a wy nie wiecie, co w tym spojrzeniu się kryje: sztylet, zdrada, czy trucizna. No, i wydało się. Ta kobieta знаła mnie i jeszcze towarzysza z naszej trójki. Po naszym odejściu zameldowała o naszym pobycie do Guardia Civil, do żandarmerii, i od razu zaczęła się obława. My jeszcze nie wiemy, ale nazajutrz jak tylko wyrzemy z lasu, to widzimy w polu patrole. Chodzą i chodzą wokół, na krok nas nie odstąpią. Posłaliśmy w głąb lasu, bo czujemy, że się koło zamyka. To trwa cały tydzień: w nocy cofamy się, a w dzień śpiemy, to znaczy: osiemnastu ludzi śpi, a dwóch czuwa. A wśród tych osiemnastu jest dwóch chorych, poza tym głód nam dokucza, że wytrzymać trudno. Wtedy starsi mówią do mnie: tyś najmłodszy, weź tych dwóch chorych i wyjdź z nimi naprzeciw faszystom, a my wtedy się przebijemy, bo oni pójdą na was. A najstarszy towarzysz, górnik z Oviedo powiada: głupstwo zrobiliście Gomez, żeś wtedy w tym domu powiedział, ilu nas jest. Gdybyś powiedział, że jest was tylko trzech, tylu, ilu was widzieli, to by nam dali spokój, skoro was dostaną w



ręce, a tak? Będą dochodzić i pytać, gdzie reszta, no? Wracaj z chorymi, a my pójdziemy do Jean, blisko Lopera, tam biją się Polacy, to nam pomogą. Idź.

Wyszliśmy z lasu i Guardia Civil od razu nas otoczyła. Odczytali moje nazwisko i nazwisko tego towarzysza, który był ze mną wtedy w tym domu, a teraz wracał jako chory. Tylko trzeciego ta kobieta nie znała — jak mówiła w czasie konfrontacji, która się odbyła w Tharsis. Ona pochodziła z Tharsis i znała mnie jeszcze jako dzieciaka, a ja jej nie pamiętałem. Twierdziła, żeśmy jej zabrali nie dziesięć bochenków chleba, a trzy worki, żeśmy zabrali także kilka kilo kiełbasy, boczek i szynki, wszystko, co miała w domu! I dodała jeszcze, że sztydził się z jej uczuć religijnych i z wiary ojców, bo rzekomo miałem jej powiedzieć: niech ci Pan Bóg zapłaci, a ja nie nie mówiłem, tylko ona pożegnała nas słowami: idźcie z Bogiem. A po tym zaraz poleciała do koszar i zdradziła nas. Tak, mój kochani.

Z Tharsis odwieziono nas do Huelva. Śledztwo prowadził porucznik Murillo i — no zgadnijcie kto? Ten właściciel składu aptecznego, u którego kiedyś pracowałem. Takie to i śledztwo. Teraz — powiada mój były pracodawca — nawet jak mi dopłacisz, to ci pracy nie dam, boś komunista. W nocy posadzili nas trzech na samochód, obstawili go Guardia Civil i falangistami. Nie mówili, dokąd nas wiozą, tyle tylko wiem, żeśmy wyjechali na szosę prowadzącą do Tharsis. A więc wiozą nas z powrotem. Z Huelvy do Tharsis jest jakieś 45 kilometrów, ale w czasie tej jazdy nasz samochód zatrzymywano sześć razy i sześć razy kazali nam schodzić i stawać pod drzewem, albo nad rowem przydrożnym i sześć razy oddawali salwę tuż nad naszymi głowami, dopiero po salwie wracaliśmy do samochodu. Za każdym razem falangistami mówili do kierowcy: stój, dalej już nie jedziemy. Ale za każdym razem, po każdej salwie, jechaliśmy dalej. W Tharsis trzymali mnie w więzieniu przez trzy miesiące, a potem puścili. Wra-



boką na cztery metry, a cała przestrzeń umocniona jest przeróżnym żelastwem, broniącym dostępu do murów tak, że koszar niesposób zdobyć. Tymczasem drogą powietrzną przylatują z Marokka wojska reakcji do Cadiz. Nie tylko powietrzem otrzymują faszysty pomoc i posiłki. Również drogą morską przybywa dla nich pomoc, tylko że na morzu przeszkadzały im jednostki republikańskie. Z Cadizu reakcyjne oddziały spieszą do Seville i w czasie trzytygodniowych walk ulicznych faszysty mordują członków i zwolenników Frente Popular. Jest jedna taka polska książka — kolega Romek czytał mi ją — „Popioły” się nazywa — tam jest opis walk w Hiszpanii, kiedy Napoleon szedł na nasz kraj. Walka faszystów była podobna do tamtych walk. Szli

caj — powiedzieli — do Huelva, karabinu nie miałes w ręce, masz szesnaście lat, a roboty to tak czy owak nie dostaniesz i sam zdechniesz z głodu. A tamtych dwóch, starych i chorych, rozstrzelali na podwórzu więziennym, już nie przy świetle latarni, tylko w jasny dzień. Kazali mi być przy egzekucji; żebym widział, co mnie czeka, jeżeli coś zrobię przeciwko Caudillo, to znaczy przeciwko faszystom Franco i przeciwko kościołowi katolickiemu. Powiedzieli to nad trupami dwóch zamordowanych robotników.

Wróciłem do Huelva, a siostry w domu nie ma. Dziewczyna w więzieniu, powiada mi matka, w tym samym, które dopiero co opuściłeś, w Tharsis, za wywieśnianie czerwonych sztandarów. Matka jest bez roboty, bo ani Compania, ani zarząd portu do pracy przyjął, nie chcą, bo jej dzieci to komuniści. Idę szukać pracy, bo żyć trzeba. A pracę, owszem, chcą dać, ale wszędzie trzeba przedłożyć legitymację falangi. Chcesz kopać rowy, chcesz wozić gnój, chcesz sprzedawać aspirynę w składzie aptecznym — daj legitymację falangi, taki u nich porządek. Pytam więc matki: co robić? Jak to, co robić? — odpowiada matka. — Nic. Nie pokażesz im żadnej legitymacji, bo ja ci nie pozwolę iść do faszystów. Ty się im nie poddasz, choćby przyszło nam z głodu umrzeć. Tylu aresztowanych, tylu rozstrzelanych, tylu skatowanych, a ty miałbyś iść do faszystów. Tymczasem utrzymuje nas rodzina matki i ojca, która pracowała w fabryce konserw w Huelva; ale ile mogli nam oni dać? Bardzo niewiele, tyle, co na suchy chleb, bo sami też niewiele mieli. Czasami przewoziłem kawę i cukier, bo te artykuły szmuglowano z Portugalii, a Huelva leży bardzo blisko granicy portugalskiej. Chodziłem więc niekiedy w jedną i drugą stronę i przenosiłem pięć, najwyżej dziesięć kilo kawy albo cukru. Ale to była niełatwa sprawa, bo codziennie trzeba było meldować się w komisariacie, raz o ósmej rano, a drugi raz o ósmej wieczorem. Jak tu więc przekraczać granicę, skoro o ósmej rano jeszcze musiałem być w mieście, a o ósmej wieczorem już musiałem być z powrotem w koszarach? A jak mnie spotkają trochę później — szmuglowałem na ulicy, to od razu zamykają i trzykrotnie w koszarach? A jak mnie spotkają trochę później — szmuglowałem na ulicy, to od razu zamykają i trzykrotnie w koszarach? A jak mnie spotkają trochę później — szmuglowałem na ulicy, to od razu zamykają i trzykrotnie w koszarach?

Wybuchła druga wojna światowa. Miałem wtedy 19 lat i ciągle w moim życiu nie było żadnej zmiany. Minęły lata 1939, 1940, miał się już ku końcowi rok 1941. Polska była okupowana, Francja, Belgia, Holandia były okupowane, Hitler stał pod Moskwą. Nad Europą była noc.

Ale młodzież komunistyczna Hiszpanii działała. Nasza komórka w Huelva była niewielka, ale za to mocno oparta o młodzież robotniczą. Mieliśmy kontakty w wielu zakładach pracy, w porcie, mieliśmy kontakty z robotnikami w Tharsis, z górnikami w Río Tinto i czuliśmy, że kieruje nami partia. Otrzymywaliśmy literaturę nielegalną, odezwy, gazetki i wiedzieliśmy o wszystkim, co się na świecie dzieje. Wiedzieliśmy, że faszysty hiszpańscy pomagali Hitlerowi. Utworzyli oni tak zwaną „Błękitną Dywizję” — zbiorowisko bandytów, złodziei, faszystowskich bojówkarzy i zandarmów. Kiedy pod Moskwą hitlerowcy zaczęli dostawać w skórę, wielu żołnierzy dywizji wracało do domu jako ranni i oni pierwsi zaczęli opowiadać o klęsce, jaka czekała tych, którzy się porwali na Związek Radziecki. Opowiadali to swoim znajomym, a ci znów innym, aż po całym kraju poszła wieść: w Związku Radzieckim ziemia przysypie nasze, mur go przywali, mróz zamrozi, rzeka pochłonie, chmura pograży, drzewo przyniesie, kamień ugodzi, wicher ogłuszy, piach oczy i uszy zasklepi i wtedy wyjdzie człowiek radziecki i zapyta: po co przyszedł na ziemię moją piękną, na ziemię cichą i urodzajną, na ziemię moją i rzeki moje, góry moje i lasy moje? Dlaczego burzysz nasze miasta, palisz nasze domy, rozwalasz nasze fabryki, mordujesz nasze dzieci? Idź, wróć przekłety, skąd przyszedłeś, a jeśli nie posłuchasz, zginiesz na naszej ziemi...

W grudniu roku 1941 organizacja poleciła mi przedostać się do okupowanej Francji, aby wykonać pewne polecenie, po czym miałem wrócić, ale do innego okręgu i na robotę nielegalną, bo od chwili, gdy przestałem się meldować, już nie mogłem pozostać w mieście, w którym wszyscy mnie znali. Wybrano mnie, ponieważ znałem życie partyzanckie, las, pole, głód i niewygody, na jakie człowiek musiał się także narażać przy nielegalnym przekraczaniu granicy. Zadanie było ważne, ale i niebezpieczne. Miesiąc grudzień wybrano dlatego, że w okresie świąt Bożego Narodzenia granica mogła być mniej strzeżona.

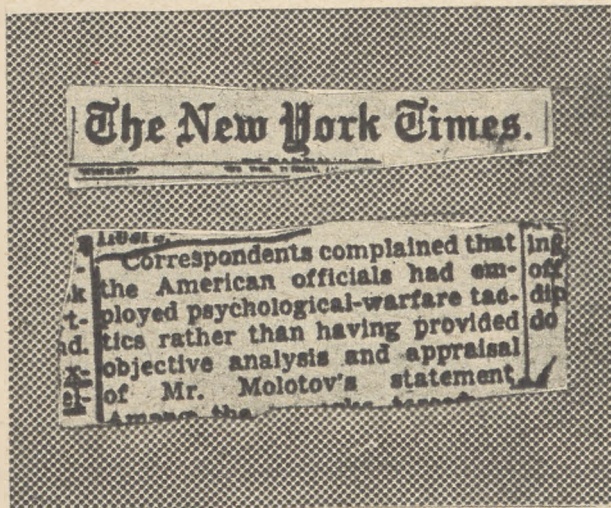
DOKOŃCZENIE W NASTĘPNYM NUMERZE

SWIAT

o tym wie!

MCCARTHY STRASZY W BERLINIE

Korespondenci kapitalistycznej prasy i radia, którzy przybyli na konferencję berlińską, godni są doprawdy pożałowania. Trudno przecież prowokacyjne wystąpienia Dullesa przedstawić jako „konstruktywne wnioski”, a jasne i słuszne propozycje ministra Mołotowa przerobić na sensacyjne „story” o „komunistycznych groźbach”. Otwarcie postawił sprawę M. S. Hendler, specjalny wysłannik „New York Times”:



„Korespondenci uskarżają się, że przedstawiciele amerykańscy stosują raczej taktikę wojny psychologicznej, zamiast dawać obiektywną analizę i ocenę przemówień pana Mołotowa”.

Równocześnie współpracownik amerykańskiego dziennika przyznaje, że w demokratycznym ośrodku prasowym na Thaelmannplatz, w pobliżu ambasady radzieckiej, dziennikarze zagraniczni znajdują bez porównania lepsze warunki pracy niż w zachodnio-berlińskim Kathreinerhaus.



„Korespondenci zachodni byli zaskoczeni serdecznym przyjęciem w radzieckim ośrodku prasowym. Nowo-odbudowane linie zapewniają dogodne połączenie telefoniczne z zachodnim Berlinem. Można tu znaleźć kioski z prasą i książkami, małe bary i wygodne pokoje. Wyposażeniem swym ośrodek przewyższa wszystko, co mogłyby zaoferować delegacje zachodnie”.



W demokratycznym ośrodku prasowym można otrzymać prasę z całego świata.

Szczerza wypowiedź korespondenta „New York Times” nie spodobała się oczywiście w Waszyngtonie. Został on wezwany, wraz z kilkoma kolegami, na poufną konferencję, gdzie ich spytano: „Czy panowie słyszeli kiedy o facjacie nazwiskiem McCarthy?” Sądząc po ich korespondencjach, które teraz różnią się bardzo od początkowych — względnie obiektywnych — wydaje się, że chyba słyszeli.

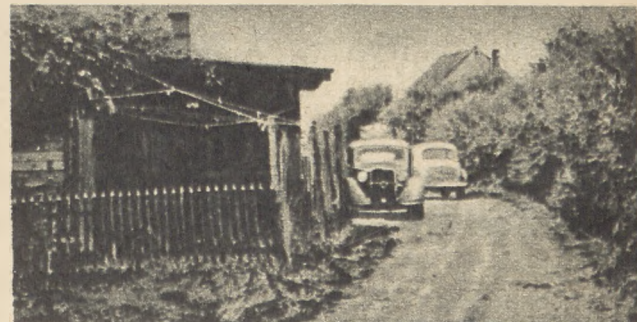
ZNAJOMY

Pies policyjny „Waldo” służył w polioji od 1936 roku. W ubiegłym tygodniu zdechło mu się w zachodnim Berlinie. Na cmentarz zwierzęcy w Lankwitz przewieziono go w trumnie przybranej kwiatami, w honorowej asyście policji Stumma. Cała ta ceremonia staje się jasna, kiedy się zajrzy do opublikowanego wspomnienia pośmiertnego o tym psie. Okazuje się, że podczas wojny „Waldo” był z formacjami gestapo w Polsce, gdzie został nawet dwukrotnie ranny. Oświećmy czy Majdanek, a może granica katpacka były miejscami bojowych wyczynów gestapowskiego psa? W całej tej sprawie nie brak żelaznej konsekwencji: kiedy się gloryfikuje Kes-



selringa czy Guderiana, to przecież i „Waldo” też zasłużył się III Rzeszy i jej adenauerowskiemu pogrobowcom.

GWIAZDY NIE POMOGĄ



Przed powzięciem każdej ważniejszej decyzji Hitler radził się swego nadwornego astrologa. Nowy fuderer niemieckiego imperializmu, Konrad Adenauer, nie zafundował sobie jeszcze prywatnego astrologa. Biedak musi się zadowolić wróżbami cyganki Bucheli (właściwe nazwisko — Margarethe Goussanthier), która za niewielką opłatą nie odmawia przepowiedni nikomu. „Gwiazdy nie kłamią” — zapewnia Buchela — i... inkasuje okazałe honoraria. Przed jej domem w Stotzheim koło Euskirchen stałe czeka długi sznur rządowych limuzyn bońskich władców, niespokojnych o swój los.

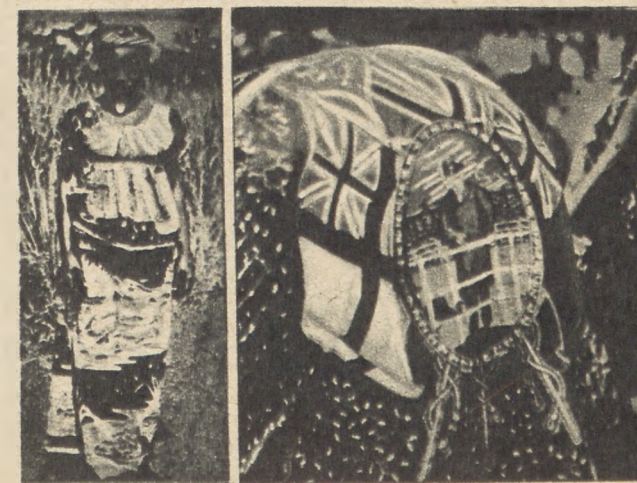


Jak wiadomo — nadworny astrolog niewiele pomógł Hitlerowi, który mimo „przychylnych gwiazd” skończył na berlińskim śmietniku.

POPULARNOŚĆ

Politycy brytyjscy lubią opowiadać, jak to pod ich czułą opieką rozwija się cywilizacja w czarnej Afryce i wzrasta popularność londyńskich władców. Winston Churchill nie marzył jednak zapewne, że pewnego dnia portret przedstawiający go na pokładzie okrętu, zdobit będzie „drugą stroną medalu” czarnej obywatelki British Empire.

To się dopiero nazywa popularność!





ANTONI FERTNER 60 LAT NA SCENIE

AKTORZY nad podziw długo pozostają młodzi. Za trzy tygodnie Solski zaczyna setny rok życia i gra nadal z niesłabnącą energią. Tydzień temu obchodziliśmy uroczyste 60-lecie pracy artystycznej Aleksandra Zelwerowicza i oglądaliśmy wzruszającą, jedną z najświetniejszych w jego dorobku, kreację w „Grzechu” Zeromskiego. Teraz znów Antoni Fertner: 80 lat życia, 60 lat na scenie. Piękny jubileusz!

Gdyby zebrać razem wszystkie lzy... śmiechu, które wycisnął Fertner z oczu widzów w ciągu tych sześćdziesięciu lat, powstałoby zapewne spore jezioro. Zawsze bowiem grał rolę o charakterze zdecydowanie komediowym i farsowym. Odznaczał się przy tym niezwykłą siłą komizmu, która zjednywała od razu sympatię widzów i zdobyła mu ogromną popularność w całym kraju.

Przez większą część życia związany był z Warszawą. Zaczął studia handlowe, ale rzucił je, tracąc głowę dla teatru. Jeszcze nie skończył szkoły dramatycznej, a już włączył się z trupami prowincjonalnymi po różnych zabitych wówczas deskami od światła miasteczkach. W Warszawie debiutował jako aktor „z dyplomem” w roli szewca w „Madame Sans Gene”. Potem krótki pobyt w Łodzi, gościna z operetką Adolfiny Zimaier w Moskwie i Petersburgu — i już tylko Warszawa z przerwą w czasie pierwszej wojny światowej, którą spędził na występach w Rosji. Dopiero po ostatniej

wojnie, w r. 1943, osiadł w Krakowie występując w tamtejszych teatrach m. in. w „Chorym z urojenia”, „Archipelagu Lenina”, „Słomkowym kapeluszu”, „Romansie z wodewilu”, „Złoty niedolach” i „Ciężkich czasach”. Tu też w Teatrze im. Słowackiego obchodził jubileusz 60-lecia pracy aktorskiej grając Argana w „Chorym z urojenia” Mollera.

Dobrze pamiętamy głośny śmiech, jaki budziła gra Fertnera. Niektóre role, jak np. w „Weselu Fosiela” czy w farsie „Pan naczelnik to ja” będą się zawsze kojarzyły z jego nazwiskiem. Ale przy okazji jubileuszu przypominano fakt, o którym już niewielu pamięta: Fertner był pierwszym polskim aktorem filmowym, a jego film „Antoś w Warszawie”, nakręcony w r. 1908, był pierwszym w ogóle filmem polskim. Potem w czasie wojennego pobytu w Rosji nakręcił ponad trzydzieści filmów rosyjskich zyskując wśród publiczności przydomek „ruskiej Max Linder”. W okresie międzywojennym występował w wielu filmach polskich, śmiejąc z ekranu widzów — tak samo jak ze sceny — swym nieporównanym komizmem.

Po dzień dzisiejszy zachował Fertner swą wielką żywotność i temperament aktorski. Jego talent podziwiają nadal tysiące widzów, którzy w dniach jubileuszu życzą mu długich jeszcze, bardzo długich lat pracy dla dobra polskiej sceny i dla radości jego wielbicieli.

(ag)

Droży Czytelnicy!

Z dużą przykrością stwierdzamy, na podstawie Waszych listów i naszej obserwacji, że sprawa doręczania gazet i czasopism w dalszym ciągu znajduje się w stanie improwizacji. Nie ulega wątpliwości, że wiele niedociągnięć można zapisać na konto poszczególnych placówek prowincjonalnych, ale przede wszystkim winę tu ponoszą odpowiedzialne za ten stan rzeczy centrale: Ministerstwo Poczty i Telegrafów oraz PPK „Ruch”. Chcielibyśmy wreszcie usłyszeć autorytatywne wyjaśnienie w tej sprawie, aby móc zorientować się, czy poczyniono już jakieś kroki organizacyjne, które poprawią radykalnie sytuację w dziedzinie terminowości dostarczania gazet i czasopism, zarówno w sprzedaży komiowej, jak i w prenumeracie. Jak dotychczas bowiem, otrzymujemy sporadyczne, mało zadowalające wyjaśnienia, które — niestety — nie nie wyjaśniają, jeśli idzie o całokształt zagadnienia kolportażu. Sądymy, że w tej sprawie zarówno Ministerstwo Poczty i Telegrafów, jak i dyrekcja PPK „Ruch” mają jednak coś do powiedzenia. Pod ich tedy adresem kierujemy następujące listy naszych Czytelników:

„Zaczęło się niezwykle obiecująco. Zostałem laureatem konkursu „Świata” (9 Przykładów). W nagrodę otrzymałem roczną prenumeratę Waszego poczytnego pisma, za którym niniejszym bardzo uprzejmie dziękuję (wprawdzie nieco późno — lecz „lepiej późno, niż wcale”). Radość moja była tym większa, że pierwszy tegoroczny numer tygodnika nadszedł w sobotę, nawet przed ukazaniem się tygodnika w sprzedaży.

Jakże naiwny byłem, ciesząc się zawczasu! Następny numer „Świata” i dalsze (do 4 włącznie) otrzymywałem już regularnie w poniedziałek następujący po niedzieli. Była to już przysłówowa „musztarda po obiedzie”. Jednak i tego widocznie nie potrafiłem docenić, bo ostatni styczniowy numer tygodnika dotarł do mnie dopiero 3 lutego, a numeru 6 „Świata” z dn. 7 bm. nie otrzymałem do dzisiejszego dnia (rekord!).

Delikatnie powiedziawszy wygląda to na drwinę. Z czyjej strony? — nie wiem. Mogę tylko przypuszczać i posądzać o to PPK „Ruch” wzgl. pocztę.

W każdym razie widać w tym co najmniej niepospolite niedbalstwo. Tygodnik nadsyłany po niedzieli, z parodniowym opóźnieniem i w dodatku z przerwami, przedstawia niewiele większą wartość niż makulatura.

Ciekawa rzecz, że pocztą czy też PPK „Ruch” potrafi na czas zaopatrzyć w „Świat” kioski, a doręczenie podobnej przesyłki do mnie, zamieszkałego w śródmieściu, stanowi dla tych instytucji trudny do rozwiązania problem”.

Z poważaniem

MIECYSŁAW PISULA
Stalinogród, Matejki 8/3

*

„Zwracam się do Szanownej Redakcji z zażaleniem w następującej sprawie:

Od 3 lat prenumeruję tygodnik „Świat” i składam go sobie w roczniki, które potem daję oprawić. Z niecierpliwością oczekuję zawsze na poniedziałek, kiedy listonosz przyniesie nowy numer, który zaraz idzie w mojej rodzinie z rąk do rąk. Tymczasem w tym roku...

Wpłaciłem jak zwykle przed 10.XII 1953 r. prenumeratę na kwartał I, II, III 1954 — i... zaczęło się...

Nr 1 z dn. 3.I. dostałem z opóźnieniem 4-dniowym, a nr 2 z dn. 10.I. wcale nie dostalem. Listonosz twierdził wtedy, że dał go mojej żonie w mieszkaniu, ale żona zaprzeczyła od razu, jak również inni członkowie rodziny, którzy wtedy byli obecni w mieszkaniu.

Teraz nr 3 z dn. 17.I. nie otrzymałem, a listonosz twierdzi, że było na tutejszej poczcie zamówionych przez adresatów 35 egz., a przychodził tylko 32.

Proszę więc uprzejmie o zbadanie tej sprawy, kto tu zawiódł i kto korzysta z tych 2 egzemplarzy.

Na razie będę kupował w kioskach dalsze numery, ale wtedy kogoś pozbawię 1 egzemplarza.

Łączę wyrazić szacunku i proszę o łaskawą odpowiedź w czasopiśmie „Świat”.

IGNACY SZUFA
kierownik szkoły nr 5
w Jaworznie
woj. krakowskie

*

„W odpowiedzi na pismo Wasze z dnia 4.XII.53 r. Nr pisma 30/III/G-53 komunikujemy co następuje:

Po otrzymaniu pisma zgłosiłem się wraz z koleżankami do Urzędu Poczтового w miejscu. Naczelnik urzędu oświadczył po sprawdzeniu w wykazie zamówień gazet, iż listonosz nie wpłacił na prenumeratę za m-c listopad za dwa egzemplarze. „Listonosz ob. Mikulski Józef winien wam zwrócić za prenumeratę” — tak brzmiała odpowiedź kierownika Urzędu.

Droga Redakcja „Świat” o tym nie wie, że my dotychczas nie otrzymujemy gazet. Kol. Jadwiga Sobieszuk zaprenumerowała tygodnik „Świat”, dostała jeden egzemplarz za m-c styczeń i na tym koniec, a za miesiąc listopad listonosz nie śpieszy się ze zwrotem pieniędzy, bardzo możliwe, że zapomniał.

Dodać należy, że naczelnik Urzędu nie zwraca najmniejszej uwagi na pracę listonoszy. Trzeba przyznać, że gazety inne nie są na czas doręczane, utarł się zwyczaj, że każdy obywatel winien wiedzieć, kiedy gazeta przychodzi, i sam zgłaszać się po odbiór gazet i korespondencji, w przeciwnym razie gazety trafiają do tych, którzy wcale ich nie prenumerują.

Mamy nadzieję, że Redakcja pomoże nam w tej sprawie i uzdrowi stosunki panujące pomiędzy prenumeratorami a doręczycielami naszej poczty, którzy są tak przemęczeni swoją pracą. Prosimy bardzo, ażeby Redakcja doradziła i pomogła im w tej pracy, by więcej nie było narzekania ze strony podnośców na doręczanie listów i gazet, jak to jest dotychczas.

Za rychłe i szybkie załatwienie z góry serdecznie dziękujemy i przesyłamy serdeczne pozdrowienia”.

Pracownicy GS
w Milejczycach
JADWIGA SOBIEZYK
HENRYK WASILEWSKI

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala: 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Wklesiodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.
Zam. Nr 96. Papier rotogr. V/80-82 cm — 5-B-11678
podpisano do druku dnia 24.II.54 r.

INDYWIDUALNE KSIĄŻKI

„PAMIĘTNIK WIĘZNIĄ”

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazało się niedawno drugie wydanie „Pamiętnika więźnia” Feliksa Dzierżyńskiego.

„Pamiętnik więźnia” pisany był w X Pawilonie warszawskiej Cytadeli od 30 kwietnia 1908 do 8 sierpnia 1909 roku. Jest to niezwykle dokument historyczny i literacki. Książka odsłania nam oblicze wielkiego rewolucjonisty. Karty pamiętnika tchną wielkim patriotyzmem bojownika polskiej klasy robotniczej, biją żywym tętmem

wielkiego ludzkiego serca, pełnego miłości dla uciskanych oraz nienawiści do tych, którzy swą władzę oparli na wyzysku i nędzy.

Dzierżyński pisał swój pamiętnik w latach chwilowego odpływu fali rewolucyjnej. I oto w tych właśnie czasach, kiedy polska burżuazja ciśnie się do stóp carskiego tronu — powstaje dokument, który jest dowodem trwałej wiary w zwycięstwo socjalizmu.

Nie ma w polskiej literaturze pamiętnikarskiej bardziej przekonującego dokumentu człowieczeństwa. Każde słowo, każde zdanie jest dowodem siły i wiary autora w piękną przyszłość ludzkości, wyzwolonej z kajdan kapitalistycznego ustroju. Wrażliwość autora, czułość na niedolę, a jednocześnie świadomość

faktu, iż nędzę na całym świecie zniweczyć może jedynie sam proletariatus — stawiają karty pamiętnika zapisane przez Feliksa Dzierżyńskiego w rzędzie czołowych dzieł literatury.

PRZEKŁAD LUDWIKA FEUERBACHA

W ostatnich tygodniach nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego ukazała się nowa książka z serii Biblioteki Klasyków Filozofii. Jest to przekład dzieła Feuerbacha „Wykłady o istocie religii”, będący zarazem pierwszym w ogóle dziełem znakomitego filozofa wydanym po polsku. Ludwik Feuerbach, działający w Niemczech w połowie XIX wieku — wy-

szedł ze szkoły heglowskiej, jednakże w filozofii swej usiłował przezwyciężyć jej idealizm i stworzyć system filozofii materialistycznej. Dziełami jego dokonał też największej — była krytyka religii. Poświęcił jej między innymi wydane obecnie „Wykłady o istocie religii”, wygłoszone w latach 1848-49, a opublikowane w 1851 roku — w dziesięć lat po pierwszym przełomowym dziele Feuerbacha „Istota chrześcijaństwa”.

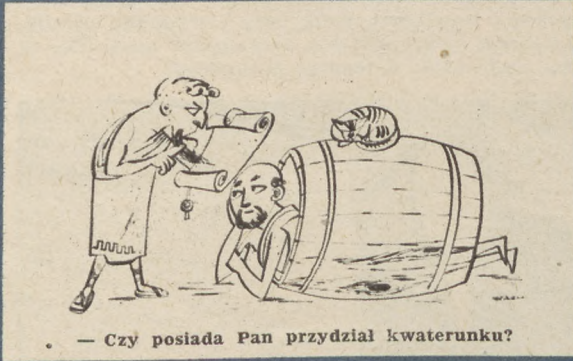
Przekład obecnego wydania poprzedzony jest napisanym przez Lenina konспекtem książki Feuerbacha — „Wykłady o istocie religii” również po raz pierwszy ukazującym się w języku polskim. (Str. 342, cena zł 34,60).



RYS. BARO



— Proszę MDCCLXII.



— Czy posiada Pan przydział kwaterunku?

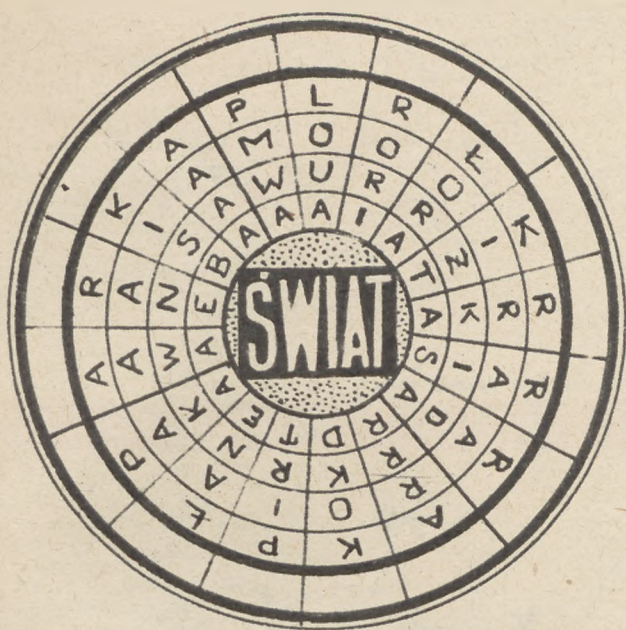


Bez podpisu



— Spójrz! Nie nakręcony zegar.

OBROTNICA



Poszczególne kręgi z literami przesuwają się względem siebie tak, aby powstało 17 wyrazów czteroliterowych czytanych dośrodkowo. Następnie na zewnątrz kręgu dopisać przed każdym wyrazem po jednej literze tak, aby powstało 17 nowych pięcioliterowych wyrazów. Te dopisane litery, czytane kolejno, dadzą rozwiązanie.

(„Heros”,
Kazimierza Wielka)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych

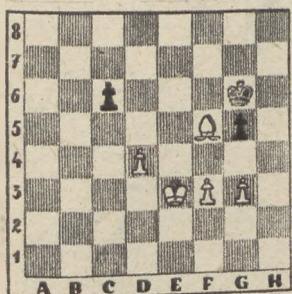
SZACHY

MECZ SZACHOWY
„ŚWIAT” – CZYTELNICY

W partii W1 zdecydowana większość głosów uzyskało posunięcie 49... Sd6:f6+ (73,7%) dystansując 49... Kg6—f6 (26,3+).

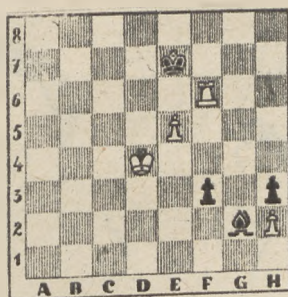
W partii W200 Czytelnicy jednogłośnie zdecydowali się na posunięcie 49. h4—h3. Po uwzględnieniu kolejnego ruchu Redakcji partie nasze wyglądają następująco:

Partia W1



48. Gc4:e6 Cc8—d6
49. e4:f5+ Sd6:f5+
50. Gc6:f5+

Partia W200



48. Kd3:c3 f4—f3
49. Wd6—f6 h4—h3
50. Kc3—d4

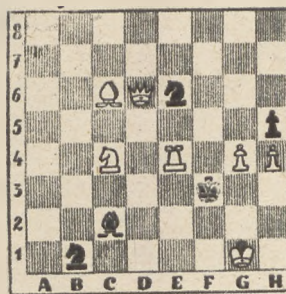
Przypominamy, że odpowiedzi na 50 posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek, 2 marca br.

Uwaga: za 3 tygodnie nowy konkurs działu szachowego „Świata”.

ZADANIA POZAKONKURSOWE

A. Galicki

Gambit hetmana



Mat w 2 posunięciach

Partia Nr 99

grana w końcu ubiegłego roku na mistrzostwach Węgier.

Białe: Gasztonyi
Czarne: Réthy

1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4 e7—e6 3. Sg1—f3 d7—d5 4. Sb1—c3 Sb8—d7 5. Gc1—g5 c7—c6 6. c4:d5.

W ten sposób białe nie dopuszczają do ostrego wariantu „Cambridge - Springs”, który powstać mógł po posunięciach 6. e3 Ha5 6... e5:d5 7. e2—e3 Gf8—e7 8. Gf1—d3 Sd7—f8.

Częściej grywają dziś 8. h6 9. Gh4 o—o 10. Hc2 We8 11. o—o Se4 i czarne wyrównują.

9. Hd1—c2 Sf8—g6 Silniejsze znacznie jest 9... Se8

10. h2—h3 o—o 11. o—o o—o Białe planują atak pionami na pozycję rozszady czarnych 11... Wf8—e8 12. Wd1—g1 b7

—b5 13. g2—g4 b5—b4 14. G5: f6! b4:c3 15. Gf6—e5 c3b2+ 16. Kc1—b1 Gc8—d7 17. h3—h4 Sg6—f8 18. Sf5—g5! g7—g6 Nie można oczywiście, 18... f6, bo 19. G:h7+ itd.

19. Sg5:h7! Białe śmiało prowadzą atak. Poświęcenie figury ma na celu otwarcie linii „ha”.

19... Kg8:h7

Nie wydaje się, aby bicie skoczkiem było lepsze.

20. h4—h5 Ge7—f6 21. h5: g6+ Kh7—g7 22. g6:f7 We8:e5

Na 22... K:f7 nastąpiłoby 23. Gg6+ Sg6 24. Wh7+ itd. 23. d4:e5 Gf6:e5 24. f2—f4 Ge5—c7 25. g4—g5 d5—d4 26. g5—g6 Hd8—f6 27. Hc2—h2 i czarne poddały się.

FRASZKA

„CIUCH” I KRAJOWE PŁÓTNO

Raz pysznił się „ciuch” z paczki przed płótnem krajowym

Gatunkiem i kolorem jak róża pąsowym.

A płótno: — I cóż z tego, żeś farb lepszych liźnął?

Nie pachniesz mi świeżością, lecz trącisza starzyzną.

TADEUSZ FANGRAT

POWRÓT Z BERLINA JEST KŁOPOTLIWY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

tu ani od Zgromadzenia Narodowego, ani od kraju. Przeciwnie: głosowania w parlamencie i tysiące zgromadzeń publicznych we wszystkich dzielnicach Francji wykazały niezbicie, że opinia narodu zdecydowanie przeciwna się zalecanemu przez Waszyngton uzbrajaniu niemieckich odwetowców.

W przeddzień konferencji berlińskiej rząd Lanieli uzyskał w Zgromadzeniu większość głosów. Stało się tak jednak tylko dlatego, że deputowani z RPF (gaullisci) poparli gabinet. Posłowie ci (mający swoich przedstawicieli w rządzie) utrzymywali, że Bidault udzielił im „zapewnień” w sprawie postawy delegacji francuskiej w Berlinie. Wyrażali oni przekonanie, że Francja prowadzić będzie na Konferencji politykę „autonomiczną”, niezależną. Fakty wykazały jednak, że było inaczej i gaullisci znaleźli się w trudnej sytuacji. Wypowiadając się przeciw „armii europejskiej” i przeciw dyplomatycznej kapitulacji Francji w Berlinie, slyszeli oni

wszędzie to samo pytanie, stawiane im przez opinię publiczną: „Dlaczego więc głosowaliście na rząd i tego samego ministra spraw zagranicznych, którego dziś potępiać? Dlaczego wam przecież znalazł się on w Berlinie?”

W obliczu nieprzejednanej postawy opinii publicznej deputowani gaullistowskie zmuszeni zostali do zmiany stanowiska. Wiele z nich złożyło interpelacje w Zgromadzeniu Narodowym. Podpisali też oni wraz z komunistami i innymi przeciwnikami „armii europejskiej” wspólny protest przeciw polityce Bidault, zażądali wyjaśnień od premiera. Nie chcąc przyznać się do tego, że głosując za votum zaufania dla gabinetu Lanieli postawili interesy swojej klasy ponad sprawę narodu — usilują oni teraz na nowo zyskać zaufanie własnych wyborców. Protest narodu bowiem był tak potężny, że 11 lutego premier Laniel musiał stawić się przed parlamentarną Komisją Spraw Zagranicznych, której większość tworzą przeciwnicy „armii europejskiej”. Usiłował on uniknąć udziału

w dyskusji, oddając głos Maurice Schumannowi — sekretarzowi stanu w ministerstwie Spraw Zagranicznych. Schumann — przegwożdżony pytaniami — nie był jednak w stanie udzielić zadowalających odpowiedzi.

— Wyższy oficer niemiecki uczestniczy obecnie w Londynie w konferencji (atlantyckiej) na temat jednolitego uzbrojenia. Jakim protokołem uzasadniona jest jego obecność? Odpowiedź Schumanna:

— Jestem bezbronny, odpowiem listownie.

Nawet i ten dialog wskazuje na zakłopotanie rządu. Nacisk opinii rośnie i wywołuje coraz silniejszy oddźwięk na ławach parlamentarnych. Propozycja ministra Molotowa o ogólnoeuropejskim układzie zbrojowym bezpieczeństwa wywołała we Francji ogromne wrażenie. W Paryżu wrywano sobie z rąk specjalne wydanie „Humanite”. Zewsząd wysyłano do Berlina depesze żądające, by na pokojowe propozycje radzieckie Bidault odpowiedział w imieniu Francji: TAK.

Sprawy przedstawiają się bowiem jasno. Przed Francją otwarte są dwie drogi: uzbrojenie niemieckich rewizjonistów, które prowadzi do najgorszych awantur wojennych, albo też neutralizacja Niemiec, ewakuacja wojsk okupacyjnych i stworzenie warunków dla pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego.

Przytłaczająca większość społeczeństwa

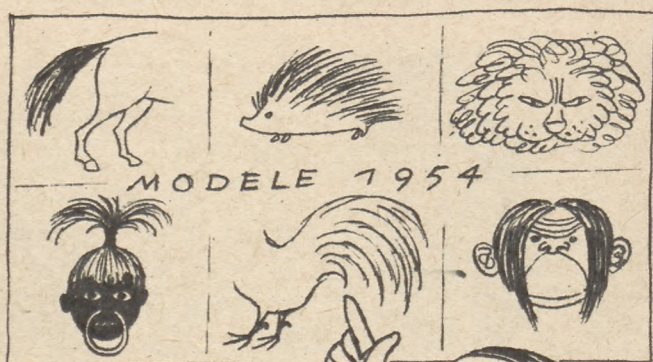
francuskiego nie waha się w wyborze. Wybiera drogę prowadzącą do pokoju.

W okresie trwania konferencji berlińskiej manifestacje ludowe w Paryżu i na prowincji nie osłabły ani na chwilę. Pomimo dyktów, wydanych przez prawicowych przywódców SFIO, potężnieją również z dnia na dzień jednostronne manifestacje komunistów i socjalistów przeciw „armii europejskiej”. W sztabie partii socjalistycznej pogłębiają się zarazem sprzeczności, sztab ten jest podzielony, przeciwnicy „armii europejskiej” stanowią w nim mniejszość, teraz zaś stają się większością.

Kampania propagandowa „ultra-europejszczyków” poniosła jednocześnie kompletne fiasko. Ich afisze są zaklejane, ich uleczne zebrania — zrywane przez francuskich patriotów. Codziennie zaś setki tysięcy ludzi zbierają podpisy przeciw remilitaryzacji Niemiec, organizują wiece, drukują ulotki, zakładają komitety wspólnej akcji przeciw „armii europejskiej”. Sporządzają także własnym przemysłem plakaty i zaklejają oszczercze afisze, na które amerykańska propaganda przysznacza miliony dolarów.

Francuscy obrońcy pokoju walczą z głębką wiarą w zwycięstwo.

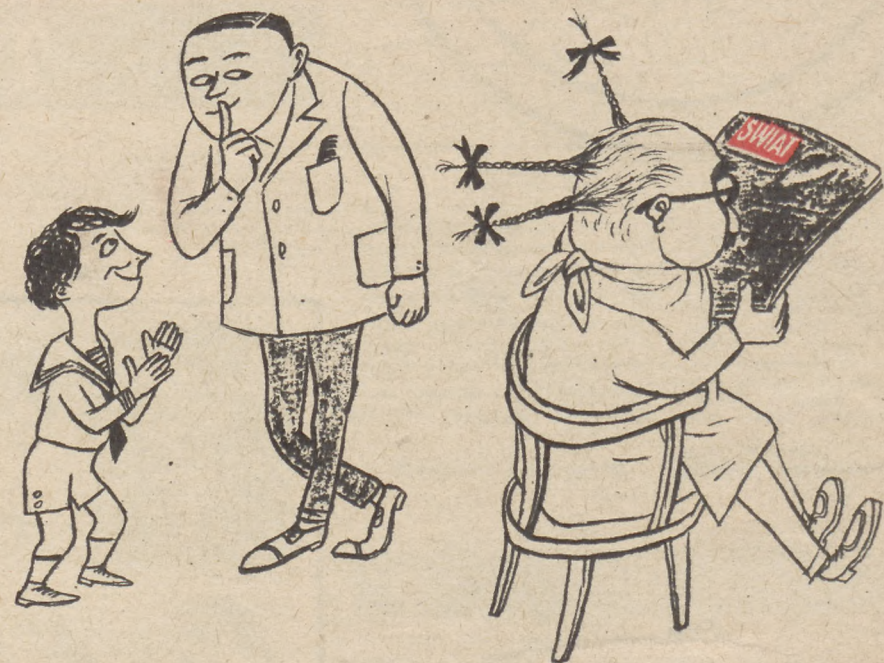
FRANCIS CREMIEUX



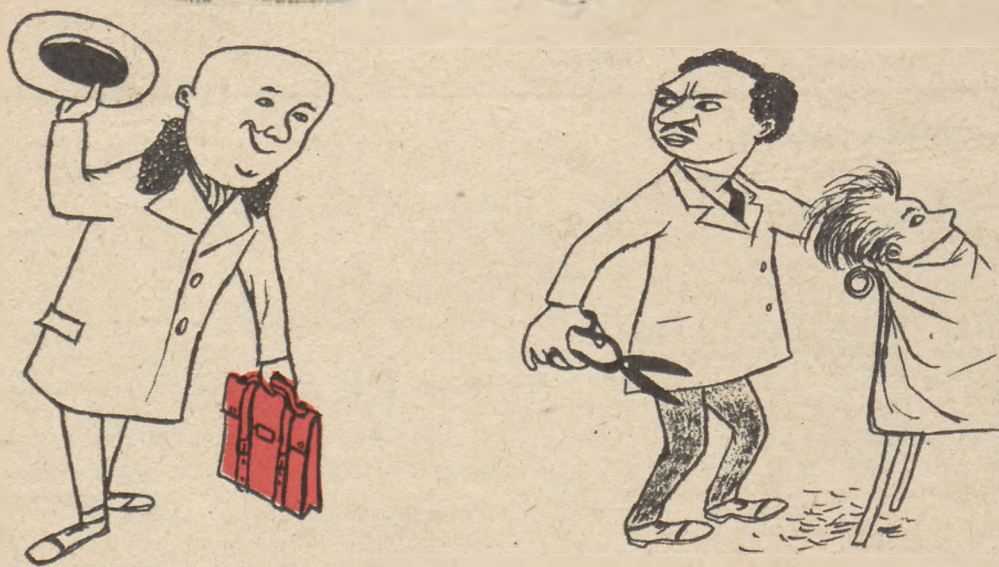
— Szanowna pani, który modelik życzy?



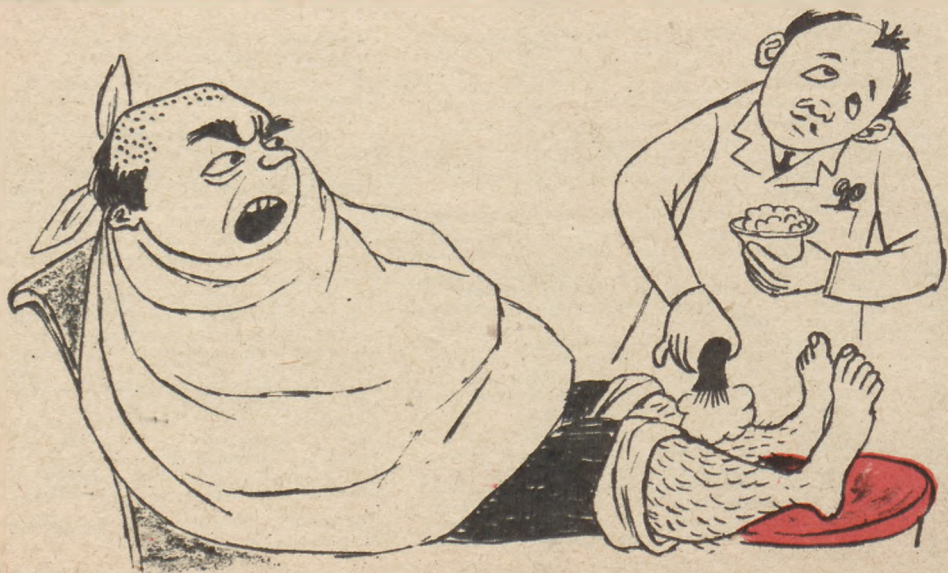
— Przepraszam, czy pan przede mną?...



— Pssst!



— Ja tylko chciałem spytać, która godzina



— Mówilem wyraźnie! Głowa!



— To, zdaje się, pan był w zeszłym roku z moją żoną na wczasach?...